

# KWAMENIA

## DWUTYGODNIK LITERACKI

W NUMERZE: Z ukrycia bezmienności • U to, co poza nawiasem • Ze wspomnień wojennych lekarza • O Kłosowskim • Wyprawa w dzieje teatru • Nasz ekran • Widzi mi się • Żagiel nocy • I in.

# H O Ł D

Józef Elsner: Szopen Frederik. Szczególna zdarność, geniusz muzyczny. (1829)

Maurycy Mochnacki: Zaiste! daleko rozgłosi imię swoje, kto w młodych latach tak zaczyna. (1830)

Robert Schumann: Czapki z głowy, moi panowie! Oto geniusz. (...) Schylam czoło przed takim geniuszem, przed takimi dążnościami, przed takim mistrzostwem. (1833)

Ernst Kretschmer<sup>1)</sup>: Geniusze — ludzie zdolni do wzbudzenia uczuć uzasadnionego podziwu dla wysokich wartości pozytywnych, wzbudzenia ich w większych gromadach. (...) Pojęcie geniusza, to „specyficzny wytwór wartości noszących znamię osobowości”. Istotny jest rys indywidualny odcinający się jaskrawo od tradycyjnego łańcucha sztuki i nawet po stuleciach łatwo dostrzegany przez fachowca. Nie jest (geniusz) tylko „dawcą wartości”, ale i „twórcą wartości”. (1934)

Ludwig Reilstab<sup>2)</sup>: (o Mazurkach op. 7) W wyszukiwaniu raniących słuch dysonansów, wymęczonych przejść, rażących modulacji, wstrętnych przekreślan melodi i rytmu jest wprost niewyczerpany. Co tylko można napotkać, a przede wszystkim najdziwniejsze tonacje, najbardziej nienaturalne rozmieszczenia akordów — wszystko wykorzystuje, aby tylko wywołać efekt niezwykle oryginalności. (...) Gdyby pan Chopin przedłożył tę kompozycję jakimkolwiek mistrzowi, to niewątpliwie ów poszarpałby ją i rzucił mu pod nogi, co też symbolicznie i my czynimy. (1833)

Robert Schumann: Gdyby samowładny monarcha północy wiedział, jak niebezpieczny wróg grozi mu w dziełach Chopina, w pełnych prostoty jego mazurkach, zabroniłby w swym państwie wykonywania tych utworów: są to armaty ukryte wśród kwiatów. (1837)

Ludwig Reilstab: (o Etiudach op. 10). Proszę nam wybaczyć, że nie dajemy specjalnego sprawozdania o 12 nowych apostołach, których pan Chopin w postaci tych 12 utworów posłał w świat. Niech wystarczy tylko uwaga, że kto ma powykręcane palce, to grając te etiudy na pewno je wyprostuje, kto zaś ma palce proste, niechże się strzeże i nie gra ich. (...) Dokąd będzie obdarzał nas takimi potworkami jak Etiudy, które pokazują moim przyjaciółom, a zwłaszcza pianistom, jedynie dla uciechy — to będziemy się z nich w dalszym ciągu zaśmiewali. (1834)

Ignacy Dobrzyński<sup>3)</sup>: On jest solus et unicus. (1865)

„Musical World”: Chopin osiągnął w ten czy inny sposób rozgłos niebywały, czego zupełnie nie możemy zrozumieć. Rozgłos, jaki nierównie rzadziej osiągają kompozytorzy dziesięciokrotnie bardziej utalentowani niż Chopin. (...) Szerzy najbardziej absurdalne i przesadne ekstrawagancje. (...) Jako kompozytor okazuje się niedojrzały i ograniczony. Chopinowi nie brak pomysłów, ale nigdy nie przekracza one 8 albo 16 taktów, po czym jest on niezmiennie in nubibus. (...) Jest jakaś niezręczność w jego harmoniach,



Jedyna znana fotografia z ostatnich lat Chopina

Wykonał L. A. Blisson w Paryżu

a dalej w ich afektowanych dziwactwach, pomimo wymuszonego niepodobieństwa do zwykłych fraz muzycznych, jest całkowita ignorancja rysunku we wszystkich większych utworach, jest dążenie i pogoń za oryginalnością, która (jeśli uda się ją osiągnąć) okazuje się suplowata, niedojrzała, niestrawna, w rezultacie czego Chopin nie tylko przestaje być zręcznym, ale nawet umiarkowanie doświadczonym artystą. (...) Apelujemy do uszu i sądu każdego obiektywnego człowieka, aby zaświadczył, że wszystkie dzieła Chopina reprezentują pstrą paletę napuszony przesady i męczącej kakofonii. Jeśli nie jest on jedyny w swoim rodzaju, to tym samym nie może być lepszy od Straussa czy innego wyrobnika walców, a jeśli jedyny — to tym bardziej nieznośny, męczący i śmieszny. (...) Istnieje obecnie usprawiedliwienie dla przestępstw Chopina: jest on w siódmach arcywodzieli George Sand, znanej równie dobrze z liczebności, jak i z doskonałości jej romanów i kochanków. Niemniej dziwi nas, jak mogła ona (...) pozwolić na trwonięcie swej marzycielskiej osobowości przez takie zero muzyczne jak Chopin. (...) Ci, którzy go wielbią, a imię im legion, będą wielbić i te mazurki, które są więcej niż superchopinowskie. My tego nie robimy! (28.X.1841)

Zdzisław Jachimiecki: Pościogło mniej bogata, przedstawia twórczość Chopina nie tylko na polu muzyki fortepianowej, ale muzyki w ogóle, epokowe pod każdym względem znaczenie. Może żaden inny kompozytor nie zdołał uniezależnić się w tym stopniu od swoich poprzedników i współczesnych jak Chopin. Stał się

nauczycielem muzycznym późniejszych pokoleń i zwiastunem nowych poglądów estetycznych. Potrafił wyrażać rzeczy nieznane w sposób genialnie jasny i piękny. Sztuce jego należy się miejsce obok Palestriny, Bacha, Mozarta i Beethovena. (1930)

„Musical World”: Chopin jest kapryśną, na pół bezmyślną istotą z wrodzonym wielkim talentem muzycznym, ale z wadliwym wykształceniem, czego zresztą jest świadom. Gdyby okoliczności sprzyjały rozwojowi jego zdolności, mógłby stać się wielkim, oryginalnym kompozytorem; mógłby zmusić ludzkie serca do ćwiczeń, podobnie jak zmusza ich palce. (13.VIII.1843)

Tadeusz Kotarbiński<sup>4)</sup>: Spoczywają w naszych skrzyniach precjoza pierwszej wody, powszechnie i bezspornie uznane. Cieszy się nimi każdy, komu polskość miła, a wraz z Polakami radują się nimi wszyscy miłośnicy dóbr nieprzemijających. Do takich skarbów należy ponad wszelką wątpliwość postać i twórczość Fryderyka Chopina. (1846)

Juliusz Słowacki<sup>5)</sup>: Jest zycząjem Anglików zwłaszcza w klasie piwowarów i ludzi grubych, krwistych organizacji, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energię. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk, a teraz przysłał doskonałe lekarstwo, to jest energującą muzykę Chopina. (1845)

Mikołaj Rimski-Korsakow: Po nieskończeniu poetycznych dźwiękach Chopina, wszelka inna muzyka wydaje się ciężka i niedość subtelna, nie wy-

# 1810 - 1960

łączając nawet takich gigantów jak Beethoven i Schumann; o Liszcie już nie mówię, Wagnera zaś, z jego przemądrzałą muzyką, zaczynam nienawidzić. (1908)

Władysław Zelenki: We wszystkich kompozycjach większego zakroju daje się czuć brak kompozytorskiego planu, logicznego porządku w modulacjach. (...) W Schumannie i Chopinie przeważa zawsze fantazja bujna, chociaż niekiedy chorobliwa. (1891) — Kto chce Chopina zrozumieć i z jego skarbnicy czerpać, musi przedtem zapoznać się ze zdrowszą, klasyczną muzyką. (1899)

Stefania Łobaczewska<sup>6)</sup>: Chopin — mimo że najbardziej może subiektywny spośród romantyków europejskich — potrafił podać treści uczuciowe w formie bardziej zobiektywizowanej niż Schumann. Chopin uratował od niebezpieczeństw egotyizmu inny moment niż Schumanna: nie programowość, która była mu obca, nie fakt nazywania po imieniu subiektywnych wrzuseń, dla których szukał ujścia w swej muzyce, ale z myślą ścisłej formy i konstrukcji muzycznej z jednej strony, a związane się z muzyką ludową z drugiej strony. (...) W takim razie nie od kogo innego jak od klasyków wziąłby Chopin to, tak charakterystyczne dla niego, zamilowanie do schematów muzyki tzw. absolutnej i ten niespotykany u jego współczesnych zmysł ścisłej konstrukcji muzycznej, który dotychczasowym biografom wydał się czymś tajemniczym i niewytłumaczonym na tle jego epoki. Podpatrywane u klasyków ścisłe homonoficzne schematy muzyki instrumentalnej z ich najdalej już posuniętymi konsekwencjami roboty motywicznej transportował Chopin na teren muzyki fortepianowej. (1950)

Zygmunt Noskowski: Pierwszą mistrzynią jego była przyroda nasza; jej blaski i piękność oślniły go i nie zatarła nawet tak długim oddaleniem ślady w głębi ducha wielkiego artysty pozostawiały. Melodie Chopina są upoetyzowaniem tych widoków, na które mistrz w latach młodości spoglądał, są ich odbiciem niezmiernie ważnym. Z niejednego mazurka odgadnąć możemy kolorystykę i oświetlenie krajobrazu który mistrz widział oczyma duszy pisząc swój cudny poemacik. Sam wybór tonacji jest już nam w stanie dać przybliżone pojęcie nie tylko nastroju duszy naszego twórcy, lecz pozwala nam odczuwać barwę ogólną, powiem nawet — porę roku, w której się rozwija idealny obrazek przez Chopina wymarzony. (...) O jednej tylko Sonacie b-moll wspominać dla zwrócenia uwagi na to, co mówiliśmy już wyżej o barwach tonacji. Owa sonata to wielki poemat jesienny; zdarzenia i obrazy, których się w tym dziele domyślamy, które odgadujemy, mogły się dokonać tylko w tej pełnej smutku porę roku. Ow króciutki finał... czyż nie przedstawia nam podmuchu wiatru strącającego na groby resztki liści z drzew poczerwieniałych? (1899)

# Z UKRYCIA BEZIMIENNOŚCI

JÓZEF W. ZIĘBA

Dwa ostatnie lata charakteryzowały się w naszym województwie zrywem inicjatywy społecznej wsi. Wyraziło się to konkretnymi osiągnięciami wie- lu gromad.

Powstawały świetlice i domy ludowe, drogi i szkoły. Właśnie domy ludowe i świetlice pobili chyba rekord w ogólnym bilansie województwa. Rzecz to niezmiernie dziwna, ale chyba tym bardziej znamienita.

Zjawisko to można tłumaczyć chęcią awansu kulturalnego społeczności wiejskiej, wyzwającej się z zacofania gospodarczego i tradycyjnych norm kultury ludowej.

Oczywiście wszelkie uogólnienia w tym względzie będą zbyt jednostronne i w zasadzie nie ujmą całego procesu. Zjawiskiem tym powinni się zająć „na gorąco” socjologowie.

Jak wygląda ten proces od strony wsi?

Samozwancami lub z gromadzkiego obioru motorami tego procesu są w przeważającej mierze wiejscy nauczyciele. Ludzie, którzy nie mogą się pomicieć w ramach nakreślonego dla szkoły programu, wrażliwi na prymityw ludzkiego bytowania, buntujący się przeciw niezadowolającej wiejskiej rzeczywistości.

A są to przeważnie ludzie „bezimienni”, o których prawie nic nie wiemy.

Adolfina to wieś nieopodal szosy Chełm — Lublin, kilkanaście kilometrów przed Chełmem. Przejedźny, pędzący samochodem, nie zatrzymuje się tu nawet dłużej wzrokiem, bo wieś niewidoczna, ukryta za wzgórzem, a odosobniona, bardzo skromny budynek szkoły nie przykuwa oka ani okazałością, ani nędzą. Można równie dobrze uważać go za nieco większy dom mieszkalny. Właśnie w takich, a nieraz i w znacznie skromniejszych domach kryje się praca tych, których nazwałem „bezimiennymi”.

Rafała Łobodzińskiego, kierownika szkoły w Adolfinie, zastaję przed budynkiem z gromadą dzieci. Jest lekcja gimnastyki, dobra okazja, by dzieciarnia wchłonęła w płuća trochę świeżego powietrza. Wchodzimy do mieszkania kierownika, rozmawiamy o tym i owym. Listonosz przynosi prenumerowane pisma, wśród nich dostrzegam „Nowe Książki”.

— No tak — mówi z uśmiechem młody człowiek — musimy się tu pismami bronić przed zupełnym zaśnieżeniem. Widzi pan, nie mamy jeszcze światła. Do Chełma, choć niezbyt daleko, nie łatwo się dostać, zresztą nie ma czasu. Kierownictwo, szkoła, lekcje. I tak jest to mała część tego, co trzeba robić. W praktyce wszystkie popołudnia są zajęte. Jednego wieczoru prowadzi się próbę zespołu dramatycznego, drugiego zajęcia w uniwersytecie powszechnym, to znowu zebranie koła LPZ lub LZS.

Wszystkimi drogami trzeba drążyć głębię ludzkich zainteresowań, zadowalać się nieraz i małymi efektami. Oto grupy karciarzy zarzucają karty, by grać w warcaby, niektórzy rozpoczęli już naukę gry w szachy. Dla najbardziej zapalonych organizuje się turnieje. Przy okazji spotkania w szkole można wypożyczyć z punktu bibliotecznego książkę lub posłuchać wykładu na jakiś ciekawy temat. Szkoła stała się już faktycznym centrum wsi. Nawet matki dwa razy w tygodniu przyprowadzają tu swoje najmłodsze przedszkolne pociechy, by posłuchały bajki czytanej przez miłą żonę kierownika.

— I widzi pan — pokazuje mi oprowadzający dwie izby szkolne — to wszystko tu się odbywa. W tej sali mamy scenę.

To, co się nazywa „sceną”, jest niskim podwyższeniem w jednym kącie klasy. Tu w czasie lekcji stoi stół nauczyciela, a w czasie przedstawienia dekoracje i aktorzy. Trudno sobie wyobrazić, jak ci ludzie mogą się poruszać na tym skrawku przestrzeni, ale faktem jest, że grają, i to z zapalem. W czasie przedstawienia wiadomym sobie sposobem rozsuwają ścianę, tworząc z dwu klas „salę widowiskową”.

Wychodzimy przed dom. Cienka warstwa śniegu okrywa wszystko, trudno odróżnić, gdzie kończy się bois-

ko a zaczyna pola. Podchodzimy bliżej. Tu widać wyraźnie, że wzgórze widoczne za szkołą — to usypana ręka człowieka strzelnicza. W ziemi służy dzieciom za tor saneczkowy. Obok gładka przestrzeń boiska (ćwiczą tu nie tylko dzieci, ale i młodzież ze wsi). Boisko wytyczają pątyki niedawno zasadzonego żywopłotu. Tu jest granica gruntów należących do szkoły. W lecie trzeba przetrzeć tę ogrodzić siatką i zasadzić drzewka.

— A tu — wskazuje oprowadzający — obok szkoły jest miejsce na budowę nowego domu. Już dzisiaj szkoła nie może pomieścić wszystkich uczniów. Konieczne potrzebne są dwie sale. W nowym budynku na fasjacie byłoby mieszkanie dla nauczyciela, a na dole obok dwu klas niewielka sala ze sceną wykorzystywaną od święta na przedstawienia i zabawy, a na codzień dla dzieci do gimnastyki. Znajdą się tam i pokoje przeznaczone na bibliotekę i świetlicę. Jest już nawet bardzo pomysłu rozwiązany plan tego budynku. Ludzie ze wsi w czynnie społecznym zwoją materiał i wykonają wszystkie niefachowe roboty. Niestety wieś jest biedna i nie udźwignie na swych barkach całego ciężaru budowy. Pewne fundusze na ten cel zebrał już zespół teatralny, lecz są one przysłówkową kropką. Potrzebna jest dotacja, ale w inspektoracie nie bardzo podoba się projekt powiązania szkoły ze świetlicą. Kierownik liczy więc na pomoc Powiatowego Wydziału Kultury. Martwię go bardzo mówiąc, że Wydział Kultury w Chełmie w tym roku na inwestycje prawie nie ma funduszy.

## O TO CO POZA NAWIASEM ALEKSY BORNUS

Z inicjatywy Zarządu Głównego ZMW odbyła się w dniach od 27 do 29 stycznia br. we Wzdowie, w województwie rzeszowskim, Krajowa Narada Czytelnicza Związku Młodzieży Wiejskiej. Poświęcono ją zagadnieniom upowszechnienia czytelnictwa wśród młodzieży chłopskiej.

W latach ostatnich nastąpiły na wsi duże zmiany ekonomiczne i społeczne. Stoi to w ścisłym związku z ogólnym ożywieniem życia społecznego chłopów i awansem cywilizacyjnym wsi. Zmiany te nie mogą nie wpływać na proces kształtowania się potrzeb i postaw kulturalnych. Inne stają się obecnie funkcje czytelnictwa i książki w środowisku wiejskim.

Choćby już stąd wynikała potrzeba analizy stanu i perspektyw czytelnictwa wśród młodzieży. Lecz narada rzeszowska nie wyszła, rzecz można, poza schematyczne rozważania o czytelnictwie. Kontynuowano tradycyjne narzekania, że biblioteki i punkty biblioteczne posiadają mało czytelników, że bibliotekarze rzadko zajmują się aktywnym oddziaływaniem na czytelnika, nie organizują wieczorów czytelniczych i dyskusji. Zauważono, że Kraszewski, Sienkiewicz i Orzeszkowa są nadal najpopularniejszymi autorami na wsi, natomiast nikt nie jest zainteresowany literaturą współczesną, polską i obcą. Ubolewano nad takim stanem rzeczy, cytując przedwojenne wspomnienia W. Fołty i J. Stryczka, których książki wychowały na wybitnych działaczy chłopskich.

Tymczasem młodzież wiejska dzisiaj jest inna, niż była przed wojną. Inne otaczają ją warunki i inne rysują się przed nią perspektywy. Z natury rzeczy odmienne musi mieć ona potrzeby i wymagania kulturalne. Książka była kiedyś podstawowym dobrem kulturalnym na wsi. Dawała nie tylko przeżycia emocjonalne i otwierała horyzonty myślowe. Była też podniecia do działala-

Trzeba więc będzie rozpocząć wędrowkę, od początku przekonywać „odnośne” czynniki, że budynek ten jest wsi bardzo potrzebny, że stanie się ośrodkiem promieniującym na okolicę, że... że... Trzeba znowu przytaczać różne argumenty motywujące podania. Rozpocznie się zwykły codzienny mózół „bezimiennego” działacza usiłującego przełamać piętrzące się trudności. Na pociechę działaczowi pozostanie wierne i najbliższe grono ludzi, przed którymi z wolna otwierają się coraz szersze horyzonty.

Z takich w skali ogólnej drobnych, a w skali jednostek olbrzymich wysiłków rodzi się nowa rzeczywistość wsi. Nie wolno zapominać, że bezpośrednimi twórcami tych przemian są ci, których nazwałem na początku „bezimienni”. Trzeba im nie tylko podawać życiową dłoń (o czym nie wszyscy chcą pamiętać), ale nazwiska ich wydobywać z ukrycia.

Pierwszy z brzegu wybrany Adolfina i bezimienni dotychczas działacz, Rafał Łobodziński, niech zapoczątkuje w naszym piśmie szereg dzielnych ludzi, wyrwanych z ukrycia bezimienności.

ności społecznej i buntu przeciw niewłaściwym formom bytowania. Stąd duża popularność czytelnictwa w kołach ZMW, świetlicach i domach kultury. Każda książka na wsi, to był fakt kulturalny o dużym znaczeniu. Na Orkanie, Żeromskim, Sienkiewiczu i Konopnickiej wychowały się setki chłopskich działaczy społecznych i politycznych.

Dzisiaj, izolacja ekonomiczna i społeczno-obyczajowa została rozerwana. Nadążanie za poziomem i stylem życia miasta to chyba powszechne ambicje młodzieży chłopskiej.

Dlatego nie bardzo frapuje chłopca czy dziewczynę wiejską — sarmacki Sienkiewicz, zaona, lecz staroświecka i sentymalna Rodziewiczówna, a nawet Nałkowska czy Iwaszkiewicz. Nowi czytelnicy nie znajdują w tej lekturze obrazu otaczającego życia i swych własnych problemów. Nie ma wśród młodzieży wiejskiej klimatu kontemplacji książek, jak to było przed wojną.

Coraz większe zainteresowanie techniką, upowszechnienie radiofonii, pierwsze telewizory, częste kontakty z miejską „nowoczesnością” i masowe czytelnictwo prasy — oto są nowe zjawiska socjologiczne i kulturalne na wsi. Są one na pewno pozytywne, a co ważniejsze — są konieczne jako nieodwracalny proces niwelacji różnic między cywilizacją i kulturą miasta a wsią. Aby skutecznie wpływać na kształto-

## „Teren” pracuje

CO NOWEGO W TWP ?

Informuje mgr Jan Drażek. — W odpowiedzi na ekscesy hitlerowskie w Niemczech Zachodnich Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Lublinie jako pierwszy w Polsce podjął akcję wykładów o zbrodniach hitlerowskich na Lubelszczyźnie. Pomagają nam w tym głównie pracownicy muzeum na Majdanku. Akcją naszą jest zakrojona na bardzo szeroką skalę. Ma objąć wszystkie miasta powiatowe, większe osiedla oraz 50 szkolnych kół ZMW. Odczyty te są bardzo potrzebne zwłaszcza młodzieży, gdyż roczniki wojenne i powojenne nie mogą sobie już nawet wyobrazić, czym były zbrodnie hitlerowskie. Dopiero pokazanie zdjęć robionych przez samych hitlerowców i filmu nakręconego zaraz po wyzwoleniu Majdanka robi na zebranych olbrzymie wrażenie.

— A co słychać w uniwersytetach powszechnych? — Rozwijają bardzo ciekawą i żywą działalność, ale tego nie da się opowiedzieć w kilku słowach.

— A więc w najbliższym czasie wybierze- my się na dłuższą pogawędkę, a także w teren, by napisać obszerniejszy artykuł lub reportaż o pracy uniwersytetów powszechnych na Lubelszczyźnie.

J. Z.

## UNIWERSYTET POWSZECHNY W JABLONIU (POW. PARCZEWSKI)

Jest to jedna z ciekawszych placówek tego rodzaju w województwie lubelskim. Kierowniczka tego Uniwersytetu H. Tokarska skierowała zainteresowania słuchaczy na zagadnienia kultury i sztuki, literatury, tematy przyrodniczych i geografii. Dzięki pomocy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej słuchacze Uniwersytetu mogą często spotkać się z ciekawymi wykładami. Ostatnio np. gościem Uniwersytetu w Jabloniu był uczestnik wyprawy na Spitzbergen, Tadeusz Makarewicz. Opowiedział on

wanie i rozwój kultury umysłowej na wsi, trzeba dzisiaj poszukiwać skutecznych sposobów oddziaływania — nie zaniedbując oczywiście propagandy czytelnictwa.

Należałoby pomyśleć o zwiększeniu ilości audycji dla wsi w radio, zarówno z dziedziną oświaty jak i życia kulturalnego (koncerty, pogadanki literackie itd.). Masowe czytelnictwo prasy, zwłaszcza takich czasopism, jak „Nowa Wieś”, „Przyjaciółka”, „Przekrój”, „Horyzonty Techniki” jest doskonałą okazją do atrakcyjnej popularyzacji wiedzy przyrodniczej i techniki, dobrej poezji i piosenek. Znaczna część młodzieży wiejskiej posiada średnie lub niepełne średnie wykształcenie. Jest dość wyrobiona. Interesuje się muzyką, plastyką, malarstwem. Biblioteki i domy kultury mogłyby się zająć organizowaniem prelekcji z historii sztuki połączonych z wystawami reprodukcji (z powodzeniem robi to Zarząd Wojewódzki ZMW w Opolu). Zaopatrzyć trzeba rynek wiejski w dobre nagrania muzyki poważnej i popularnej. Spółdzielnie gminne lepiej przysłużyłyby się sprawie kultury na wsi rozprowadzając płyty z muzyką zamiast wódek.

A film na wsi? Ciekawe dodatki oświatowe, dyskusje. Przy okazji koła amatorów fotografów. Są to świetne metody upowszechniania wiedzy, tak rzadko jeszcze na wsi stosowane. Wspomniane sprawy były właściwie poza nawiasem Narady Czytelniczej ZMW. Trzeba będzie się nimi koniecznie zająć w najbliższej przyszłości. I tutaj rola ZMW jest ogromna.

licznie zgromadzonym słuchaczom o kra- nach polarnych ilustrując wykład licznymi przez siebie zrobionymi zdjęciami i filmem „Mały reportaż spod bieguna”.

J. Z.

## ZE SCENY AMATORSKIEJ

Ostatnio przeprowadzono w województwie lubelskim przegląd spółdzielczych zespołów teatralnych. Najciekawiej zaprezentowały się zespoły GS z Wohynia, Wisznia, Karczmisk i Łabuń.

W Wohyniu „Intryga i miłość” opracowa- no pod opieką Czesława Łobody — znanego od wielu lat w całej okolicy reżysera - amatora. Staranna reżyseria, dobra dekoracja, wykonana przez nauczyciela rysunków wohyńskiej szkoły, a zarazem bardzo zdolnego aktora - amatora, ładne, stylowe kostiumy, uszyte przez innego członka zespołu, i kilku bardzo zdolnych wykonawców — wszystko to w sumie dało ciekawe przed- stawienie.

Niewątpliwie pozytywnym zjawiskiem jest włączenie do repertuaru amatorskiego kilku pozycji Korzeniowskiego. Wisznianie pokazali „Majstra i czeladnika” i „Narzeczone”. Uderzała prostota i bezpretensjonalność wykonawców, świetna charakterystyka i znów kilka talentów. Aha, i jeszcze pomys- łowość w uantycznianiu współczesnego ubrania.

Zygmunt Czarnecki — młody chłop, bi- bliotekarz, reżyser-amator od sześciu lat działa w Karczmiskach. Tym razem przy- gotował „Gwałtu, co się dzieje”. Sam zresz- tą gra — jak zwykle — najtrudniejszą rolę. Kostiumy znów własne, własnym przemy- słem wyprodukowane i wcale nie brzydkie. W zespole większość występuje pierwszy raz na scenie, a mimo to aktorzy i publicz- ność bawią się dobrze..

Gdyby nie to, co labuniacy dodali do „Baśni” od siebie, zobaczylibyśmy taką sobie „sztuczkę”. Obrazek z lat okupacji, wzbogacony koncertem pieśni partyzan- ckich z Zamojszczyzny i nie z Zamojszczyz- ny, przepiękny w antraktach skeczami i współczesną piosenką, zamienił się dzięki tym „nadprogramowym” dodatkom w przed- stawienie naprawdę trafiające do serca. Były również zespoły, które muszą Jesz- cze sporo popracować, żeby dać swemu śro- dowisku to, czego najbardziej potrzeba — świadomość, że i u nas (w Karczmiskach, w Łabuńkach) są ludzie, którzy potrafią ba- wić i wzruszać.

I. S.

## „KONRAD WALLENROD” NA SCENIE WIEJSKIEJ

Już od dwu miesięcy zespół teatralny z Dubicy (pow. włodawski) z powodzeniem wystawia „Konrada Wallenroda” Mickie- wicza według inscenizacji Jerzego Goliń- skiego. Inszenizację opracowano na kursie teatralnym Wojewódzkiej Poradni KO w Jabloniu.

Kierownik zespołu, znany działacz kulta- ralno-oświatowy, Tadeusz Petruczynski, sku- pił wokół siebie 28 osób. Za największe osiągnięcie zespołu należy uznać bardzo do- bre podanie poetyckiego słowa. Dotychczas zespół występował w Dubicy, Polubiczach, Wisznicach, Rososzy, Włodawie i Bialej Podlaskiej. To ambitne przedstawienie wzbudziło duże zainteresowanie wśród widzów wiejskich, a zwłaszcza u młodzieży szkół średnich.

Powodzenie „Konrada Wallenroda” na scenie wiejskiej zespołu świadczy o du- żych możliwościach artystycznych amator- skiego ruchu teatralnego.

J. Z.

10 GRUDNIA zarządzono ostre pogotowie. W każdej chwili mógł nastąpić odjazd. Byliśmy gotowi do wymarszu. 11 zeszliśmy na czekaniu. W ciągu dnia odeszły działa, karjery z obsługami i ciężki bagaż, oraz zwinięto większość namiotów. Noc z 11 na 12 spędziliśmy w silnym zagęszczeniu.

W namiocie dwuosobowym spało chyba z ośmiu oficerów. Rano, jeszcze przed wschodem słońca, pobudka i ładowanie się na samochody. Po przybyciu do portu w Suezie jechaliśmy kilka kilometrów między olbrzymimi obozami — magazynami wojskowymi na południe. Magazyny były tym razem amerykańskie. Cała ta część nadbrzeża była zajęta przez oddziały Stanów Zjednoczonych. Wreszcie przybyliśmy do portu Taufiq. Tutaj batalion rozdzielono. Wzdłuż nadbrzeża stał szereg statków, na które okrętowano jednostki w ten sposób, że na żaden statek nie została zaokrętowana najmniejsza jednostka w całości. Nawet drobne pododdziały zostały rozdzielane i okrętowane na pięć lub sześć statków po kilkunastu ludzi na każdy. Chodziło o to, żeby w razie zatopienia statku żadna z jednostek nie przestała istnieć. Kilku oficerów z naszego baonu wraz ze mną i około setką żołnierzy zaokrętowano na statek Indrapoera o wyporności 11 tys. ton. Oprócz nas Indrapoera wiozła przedstawicieli chyba wszystkich jednostek dywizji. Na każdym kroku w przejściach i na pokładach spotykało się artylerzystów, kawalerzystów (pancernych), piechotę, bronie techniczne itp. Zapomniałem wspomnieć, że w chwili ogłoszenia ostrego pogotowia polecono nam zdjąć wszelkie odznaki polskie z orzełkami włącznie. Pancerniaków odróżniało się więc po czarnych beretach, innych zaś z za-

# INDRAPOERA

siyszanych rozmów. Czy było to zarządzenie rozsądne, czy nie, tego nie wiem. Jeżeli nasze władze chciały, aby Niemcy nie wiedzieli o tym, że dywizję polską są przesuwane do Włoch, to się bardzo zawiodły. Jeszcze staliśmy w Quassasin na pustyni, gdy radio niemieckie podawało, jakie polskie jednostki są przesyłane do przetrzeżenia do Włoch. Omylili się jedynie co do terminu, bo jeszcze w okresie naszego pobytu na pustyni podał wiadomość, że 3 Dywizja Karpacka wylądowała we Włoszech.

13 grudnia nasz statek przesunięto w obręb portu do innego nadbrzeża i ładowano ciężki sprzęt, to jest czołgi, działa i samochody. Sprzęt ten ustawiano na pokładzie i przykrywano płachtami brezentowymi. Kierownicy znajdowali się przy swoim sprzęcie.

W czasie pobytu na Wschodzie każdy oddział naszego wojska miał swoje psy, które żyły się z żołnierzami i stały się w pewnym sensie własnością jednostki. Żołnierze byli do psów bardzo przywiązani. Oprócz tego było w oddziałach dużo psów stanowiących własność żołnierzy lub oficerów. Między innymi nasz kwatermistrz miał wilczurę, tak złą bestię, że poza kilkoma ludźmi, których pies znał od swego urodzenia, nikt nie mógł się do namiotu zbliżyć. Otóż wyszło zarządzenie brytyjskie zabraniające kategorycznie przewożenia psów do Europy. Żołnierzy bardzo ten rozkaz zabolował. Rozpoczęły się szept, tajemnicze miny psich opiekunów i gdy przecho-

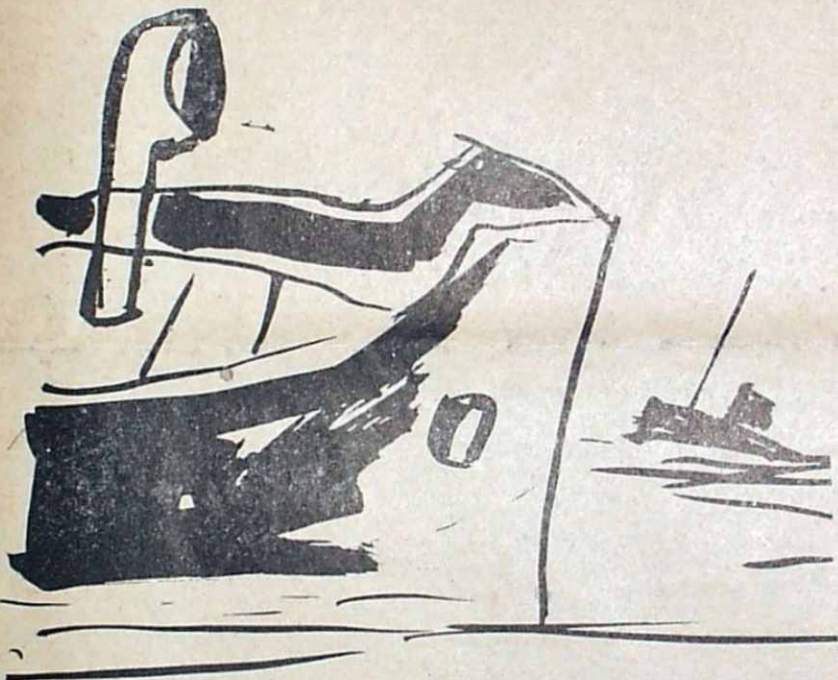
Ze wspomnień wojennych lekarza

ADAM MAJEWSKI

dziłem pokładem koło ciężkiego sprzętu, to spod bardzo wielu płacht brezentowych wyglądała przez szpary psia morda, a gdzieś tam słydać było ciche poszczekiwanie. Psy, jakby były wciągnięte w konspirację, nieznacznie tylko się zdradzały w porach, w których normalnie wojskowa kuchnia wydawała posiłki. Nie trzeba było być zresztą bystrym obserwatorem, żeby zauważyć, jak żołnierze po każdym posiłku biegli na pokład niosąc za pazuchą lub w masce gazowej przysmaki dla swoich wychowanków. Statek był przepełniony. Byliśmy tak stłoczeni, że nawet w kabinach oficerskich było ciasniej niż na New Amsterdam w pomieszczeniach szeregowych. Było to zrozumiałe, bo podróż miała trwać znacznie krócej. Ładowanie sprzętu trwało przez cały dzień 13 grudnia. W szpitalu okrętowym zorganizowano ambulatorium, w którym zatrudniono lekarzy i jednego lekarza okrętowego kierował całą służbą i zajmował się tymi, których przyjęto w stan chorych szpitala.

14 rano ruszyliśmy i w godzinę później weszliśmy do Kanału Sueskiego. Statki szły w odstępach kilkuset metrów jeden od drugiego. Z pokładów obserwowaliśmy okolice kanału. Wszędzie wzdłuż jego brzegów znajdowały się stanowiska artylerii przeciwlotniczej i rozróżniłem jednostki wojsk południowo - afrykańskich. Mogłem przez cały czas przesuwania się wodami kanału obserwować tak rozwinętą w ostatniej wojnie umiarkowaną maskowanie. W wielu miejscach nad brzegami kanału były pobudowane sztuczne stanowiska artylerii, osady arabskie, palmy; postawiane manekiny. Wszystko to było tak dobrze odrobione, że często pomimo niedużej odległości trzeba było się dobrze wpatrywać przez lornetę, aby rozróżnić, czy jest to prawdziwa bateria i przy niej żywi żołnierze, czy bateria z drzewa, a przy niej łalki. To samo dotyczyło sztucznie zbudowanych osad arabskich. Około 1 po południu mijaliśmy Ismailię. Statek przesuwał się chwilami tak blisko brzegu, że burta znajdowała się w odległości kilku metrów od łąd. Nad kanałem zebrał się cały tłum żołnierzy i pielęgniarów szpitala polskiego. Oczywiście od razu nas poznano, pomimo braku orzełków i innych polskich odznak. Zaczę-

(Dalszy ciąg na str. 4)



Rys. Teresa Targońska

## NOTATKI O KŁOSOWSKIM

TADEUSZ KLAK

Powiedzenie: pisarz-społecznik niejako podpowiada, że druga część określenia staje się ważniejsza, decydująca o obliczu pisarza, o którym mowa. I że pisarstwo, rzecz dla niego najbardziej istotna, sprawa jego jakości, schodzi na plan dalszy. Działaniu tego prawa podlega także twórczość Kłosowskiego. Nie bez racji. Karty dzieła jego wypełnia przecież, z grubszą rzeczą biorąc, problematyka społeczna. Ściśle: sprawy lubelskiej wsi, emancypacja jej, walka zła z dobrem, ciemnoty z postępem, starego z nowym. Powieści Kłosowskiego są wiernym zapisem tych procesów.

Wydawało mi się, że taki charakter książek Kłosowskiego spowodowany został przez zamówienie społeczne i sytuację literatury w latach, kiedy zaczęły działać inspiracje poetyki socrealizmu. Nie ulega przecież wątpliwości: te inspiracje znał w Kłosowskiego, zwłaszcza w „Czarnej wiosnie”, „Gwiazdach nad polaną”, powieści w dorobku Kłosowskiego najsłabszej, czy

„Ziemie bez skarg”. A jednak to nie tłumaczy wszystkiego. Lektura „Tańczącej karczmy” (1933 rok) każe skorygować to mniemanie. Kłosowski był pisarzem-społecznikiem w każdej swej książce. Ujawnia się wielka ciągłość dzieła pisarskiego autora „Mgły”, konsekwencja i wierność sobie. Oczywiście, stwierdzenie to ma bardzo względną wartość, różne bowiem jest spojrzenie na te same sprawy. Pouczające będzie zestawienie „Tańczącej karczmy” i „Czarnej wiosny”, książek w jakiś sposób autobiograficznych, a przecież krańcowo odmiennie ujętych.

Innymi przejawami tej ciągłości i wierności sobie są wracające wątki i tematy, jak problem Andrzeja Radka — trudnego dorastania chłopca wiejskiego do wyższych wartości, czy ostre ideowe określenie postaci. Także powracanie tych samych nazw czy nazwisk postaci. Kwiatoskami nazwani są np. bohaterowie „Tańczącej karczmy”, „Mgły”, „Gwiazd nad polaną” i „Ziemie bez skarg”. Wydaje się, że Kłosowski pisał zawsze jedną książkę. O słuszności tego spostrzeżenia niech świadczyć trzy powieści: „Jarzmo”, „Mgła” i „Gwiazdy nad polaną”. Wszystkie one, ukazując wieś lubelską w latach okupacji, kończą się w taki sam sposób: zakończenie akcji przypada na moment wyzwolenia kraju od Niemców, inne jest tylko geograficzne umiejscowienie akcji.

(Dokończenie na str. 7)

## Memento

JÓZEF NIKODEM  
KŁOSOWSKI

NOC

Noc jest parna, pełna zapachów i ciszy. W dole kłębi się mrok. W górze szepczą gwiazdy, jak rój srebrnych pszczoł zwabionych słodkim aromatem bijącym z uspiętej ziemi. Mleczna Droga przypomina górski strumień, wijący się po głazach białych, wydętych obłoków. Serce tonie w srebrze, w zmierzchu i przejmującym spokoju letniej, upalnej nocy. Zamotało się, jak zabłąkana mucha w pajęczynie gwiazd. I nie ma wyjścia.

KAPLICA

Idę po kamiennych, wydeptanych stopniach, prowadzących do starej, gotyckiej, na wprost ciemnej kaplicy, tak jakbym schodził na dno barwnego, migocącego lazuru morza. Wąskie witraże sączą do wnętrza zieleń, błękit wody, fioleć jesiennego zachodu, trochę ciepłego złota i smutnej czerwieni. Przez drobne, oprawne w ołów szybki kapie do środka światło i nagle na podłodze rozkwitają delikatne jak sen koralowe krzewy, perłowe ławice, srebrne gałęzie i bajeczne ukwiały. Kaplica staje się zaczarowaną muszlą, rzuconą na pozłociste dno oceanu. A kiedy podnoszę oczy, widzę w górce, pod samym stropem, biały i smukły jak lilii posąg Madonny. Barwy, sączące się ze starych, wąskich okien, syją się do Jej stóp jak najwspanialsze majowe kwiaty. Wtedy pochylam głowę i tonąc w bezmiarze rozfalowanej wody, w perłach, koralach i srebrzystych chaszczach, szepczę: „Witaj, Królowo Morza”.

MUZYKA

Muzyka jest niebem. We drzwiach wiodących do raju w blasku niezachodzącej słońcy stoją cztery Ewangeliści: Bach, Beethoven, Mozart i Chopin, by kluczem violinowym otworzyć zaczarowane wrota i wprowadzić duszę ludzką do tężowej krainy szczęścia, do krainy, w której nie ma bólu, lecz ni rozpacz. A kiedy idę, jak pielgrzym, z innymi, z ziemi, z padółu płaczu i wszelakiej niedzi dąbiega mnie słodki głos „Godzi- nek”, potem rzeźna melodia sianem pachnącej kołody, radosne i potężne jak grom „Alleluja” oraz „Święty Boże”. I nagle porzucam myśl o niebie, o szczęściu wiecznego raju i już na zawsze pozostaję na jakiejś zagubionej miedzy, żeby zasłuchać się w pieśń fujarki pastuszej, w której jest szum sosnowego lasu i świergot skowronka, barwa majowego nieba i kolor jesiennych wroszów. Doremnie czekają Czwerej Ewangeliści. Nie wrócę.

SMIERĆ

Wiem, że niedługo przyjdzie Śmierć i zdumchnie mnie jak ten drobny pył z gościńca życia. Smutno mi, że tak prędko spłonęłam w Miłości i Cierności i że przemienię, jak krótka bly-

skawica, bez echa i bez śladu, nie zostawiwszy po sobie ani lzy, ani westchnienia. Tylko żal mi będzie barw wiosennego nieba, świergotu skowronka, rzewnej nuty kołody i potężnego jak majowy grzmot: Alleluja. Stanę się garścią prochu, grudą żyznej, gnojem zalatującej ziemi, ziemi, w której jutro wyrosnie pierwszy, nieśmiały jeszcze kietek murawy.

LEŚNA DROGA

Jest pogodnie, wiosenne południe. Niebo. Słońce. Drzewa stoją w puchu świeżej zieleni. Wąską, piaszczystą drogą, wijącą się środkiem sosnowego lasu, wlece się wóz, zaprzężony w jedną szkrapę. Spiewnie skrzypią koła, z gąszczu wydziera się świergot ptactwa. Pachnie żywicą i tatarakiem, rosnącym na pobliskim stawie. Jest cicho i jakoś świątecznie. Na wieżce słomy drzemie chłop, a obok siedzi stara, przycgarbiona gosposia. Oczy ma siwe, wyblakłe, usta bezzębne. Głęboko zapadłe policzki przypominają liść jesiennego klonu. Raz po raz wzdycha i ciągle przesuwa w zdrewniałych palcach ziarnką różańca. Jest spokojna i niemal szczęśliwa. Myśli, że tam, na tantym świecie będzie jeszcze piękniej, jeszcze barwniej i weselej. I chciałaby jak najprędzej przejść przez ten próg, dzielący ją od Boga.

WIEJSKI CMENTARZ

Na pustym polu wyrasta bukiet drzew, otoczony drewnianym, spróchniałym i walącym się parkanem. Przez otwartą na oścież bramę widać krzyże, las krzyży, stojących na glinianych mogiłach, porostłych trawą i zielskiem. Krzyże są stare, omszone, z lipową, ręką samorodnego rzeźbiarza wyruganą pasyjka, albo nowe, niedawno wetknięte w popękana ziemię. Błądząc pomiędzy grobami, odczytuję nazwiska zmarłych, a brzmi to jak litania za ich dusze. Nade mną wznoszą się jesienne brzozy, przypominające zapalone gronnice. Pod nogami szeleszczą liście jakimś tajemniczym szepcem zza świata. W gałęziach modli się wiatr. Z każdego kąta wyglądają przeraźliwy smutek, smutek przemijania.

RÓZOWY OBŁOK

Stare, przedwieczne lipy schylają się nad mogiłami, nad lasem prostych, z sosny wyruganych krzyży. Słońce przesiewa się przez gęstwą zieleni i plastrami złocistego miodu spływa na bujną murawę, na spieczoną ziemię i piaskiem wysypaną aleję, po której nie przechadza się żaden człowiek. Bo życie stąd odplynęło, odszło. Tylko liść chwije się na wietrze i cichutko szeleści. W trawie żarzą się nagietki jak płomyki umarłych. Na jakimś zaniedbanym grobie olśniewająca bielą wybuchają floksy. Jest spokój letniego południa, kiedy to z góry leje się skwar i wszystko milknie. Monotonnie skrzypia świerszcze i gorzko pachną ziola.

Wtem na morzu niebieskiego błękitu zjawia się różowy obłok. Powoli płynie nad drzewami, pochyla się nad różanecem mogił i krzyży. Czują nazwiska umarłych. Jeszcze bardziej różowieje i nagle zamienia się w anioła, przynoszącego tym, co tu leżą na wieki pośnięci, nadzieję zmartwychwstania.

## Jak gdyby przedwiośnie

Czy to pachną wokół  
Ławice różowiejących śniegów  
Czy już przyszłe bladawe kwiaty  
pod śniegami

Ile jeszcze kilometrów tęsknoty  
Dzieli tę woń od wiosny  
Od ptasich arii koloraturowych  
I ptasich baletów w zieleni

Nocami  
Wszystko wciąż jeszcze obce jest  
Bo przecież jest dotykami  
i zarazem dala

Ale co rano mgliście  
Jakaś wysoka wysoka radość  
Rozkrzewia się już nade mną  
Drzewem najlepszej nowiny

Ufam przeczuwam wiem  
Żadne usta żadne ręce  
tak nie pieczą

Jak najczulszy kochanek: słońce  
Gdy nagle czasu jutrzennego  
Czasu przedwiosennego  
Zaświeci tak prosto w serce  
Najwnie wyrzeźbione

I może także  
mimochoodem  
w moje

# INDRA-POERA

(Dalszy ciąg ze str. 3)

ly się rozmowy między wojskiem na pokładzie a stojącymi na brzegu. To samo powtórzyło się w dwie godziny później w El Qantarze. Przed wieczorem przybyliśmy do Port-Saidu. Przepłynęliśmy koło sławnego pomnika Lessepsa i zatrzymaliśmy się w porcie.

Przez cały dzień 15-go staliśmy w dalszym ciągu w porcie. Na ląd wojska nie wypuszczano. Dopiero 16-go o godzinie 15 wyszliśmy z portu i stanęliśmy na redzie. Pogoda nagle się zepsuła. Mżył drobny deszczyk i wiał wiatr. Morze było rozfalowane. Bardziej wrażliwi zdradzali już objawy choroby morskiej. Wyszliśmy z dusznej kabiny i przechadzałem się po pokładzie, który był miejscami po prostu zatłoczony wojskiem. Przypuszczałem, że formuje się konwój i wkrótce odpłyniemy. Stałem się wypatrzyć sylwetki innych okrętów, jednak deszcz i mgła przesłaniały widok. Można było tylko zgadywać, że coś się dzieje poza zasięgiem naszego wzroku. Morze wyglądało nieprzyjemnie. Czarne fale przelewały się pod nami, a ich bryzgi powstające przy uderzeniu o burty spadały na pokład. W pewnej chwili powstał za mną jakiś tumult. Zwróciłem się w tamtą stronę. Zobaczyłem, że z miejsca, gdzie pod płachtami brezentowymi stał ciężki sprzęt, wybiegł pies. Za nim gonilo dwóch żołnierzy. Już go złapali na ręce i nieśli z powrotem, gdy nagle drogę zastąpił im polski oficer służbowy. Żołnierze chcieli go wyminąć, ale ich zatrzymał i kazał oddać psa. Zebrała się duża grupa. Oficerowie-widzowie nie nie mówili, choć prawdopodobnie najchętniej by poparli żołnierzy z psem. Rozkazy były wyraźne, więc nie wypadło. Żołnierze próśli służbowego, aby ich puścił, ale ten się uparł. Jakis służbista. Podniesionym głosem wymyślał żołnierzom, w końcu wyrwał im pelika, odwrócił się i wyrzucił go za burtę. Wszyscy podbiegli do balustrady i patrzyli. Pies spadł z wysokości kilkunastu metrów na wodę i pływał, bo od czasu do czasu pokazywał się między falami jego biały łebek. W czasie sporu o psa między naszym oficerem służbowym a żołnierzami na balustradzie siedziało trzech marynarzy brytyjskich i przyglądało się tej scenie. Jeden z nich, który siedział bliżej burty, w chwili, gdy pies spadł na wodę, wskoczył obydwiema nogami na nadburcie i tak jak stał szczupakiem wyskoczył za psiem. Na pokładzie powstało jeszcze większe zamieszanie. Tymczasem marynarz szybkimi ruchami zbliżał się do ukazującego się chwilami z wo-

dy białego psiego łebka. W tym czasie jni marynarze spuszczały z windy szalupę. Kilku z nich, gdy się zrównała z nadburciem, skoczyło do niej. Wszystko to działo się tak błyskawicznie, że nie wiedziałem, na co patrzeć: na zjeżdżającą w dół ze świstem windy szalupę, czy na marynarza walczącego z falami. Prawie jednocześnie marynarz wywołał psa i jedną ręką pomagając sobie płynął a właściwie starał się utrzymać na wodzie i szalupa zaczęła się do niego zbliżać. W kilka minut później wszyscy czterej z psem weszli na pokład, ten, który skoczył do wody, cały nią ociekał. Tlum naszych, liczący ze dwustu lub nawet więcej żołnierzy, dał marynarzom głośne brawo. Właściciele psa z rozpromienionymi twarzami podbiegli, by go odebrać. Niefortunni i nadgorliwi oficer służbowy gdzieś znikł. Marynarz przycisnął psa, pokręcił głową i powiedział „no” (nie) — „jeżeli tak się obchodzicie ze zwierzętami, to wam psa już nie oddam”. Zmieszani żołnierze opuścili ręce i stanęli. Jeden z marynarzy, który płynął szalupą, wziął psa na ręce, a dwaj inni pod ramiona tego, który skakał i odeszli w kierunku drzwiczek, nad którymi było napisane: „tylko dla załogi!”

Od wczesnych godzin przedpołudniowych słońce nie wyjrzało zza chmur. Deszczyk kropił bez przerwy i zaczęło się wcześniej ściemniać. Morze stawało się coraz bardziej niespokojne. Trudno było uwierzyć, że jeszcze wczoraj o tej porze w pobliżu lądu na kanale było ciepło i zupełnie widno. Poszedłem na kolację. Gdyśmy jedli kolację, usłyszeliśmy, że motory pracują. Tym razem wyruszyliśmy na dobre. Wyrzaliśmy na pokład. Ciemno, mokro, szum fal i chłodny wiatr. Wróciłem do środka i zaszedłem do dużego salonu. Nie było w nim tego gwaru co wczoraj, wszyscy byli jacyś poważniejsi, zresztą szybko opuszczali to tak załudnione zwykle o tej porze pomieszczenie i szli do siebie. Odczuwało się, że każdy szuka tej względnej samotności, jaką można znaleźć na przepelnionym statku przez położenie się do własnej koi i pozostanie ze swoimi myślami. Czuliśmy, że z każdym obrotem śrub okrętowych zbliżamy się do Europy i do swego przeznaczenia.

(Dokończenie w nast. numerze)

Adam Majewski

## MŁODOŚĆ NAUKOWA uptynęła w Lublinie

W dniu 27 lutego br. polonistyka warszawska obchodziła jubileusz XXV rocznicy objęcia przez Juliana Krzyżanowskiego katedry historii literatury polskiej na Uniwersytecie Warszawskim.

Uroczyste zebranie naukowe odbyło się w Sali im. Adama Mickiewicza, Auditorium Maximum UW. W prezydium zasiadli: rektor UW — prof. Stanisław Turski (przewodniczący zebrania), prezes PAN — prof. Tadeusz Kotarbiński, wiceim. Eugenia Krasowska, sekretarz Wydziału I PAN — prof. Stefan Żółkiewski, dyrektor Instytutu Badań Literackich — prof. Kazimierz Wyka, Maria Dąbrowska oraz profesorowie i docenci historii literatury polskiej UW. Na uroczystości przybyło wielu literatów, a obok tłumy osób związanych z Uniwersytetem Warszawskim i z placówkami naukowymi lub kulturalnymi stolicy nie brakło przedstawicieli zamiejscowych uczelni i placówek naukowych.

Wygłoszono liczne przemówienia. Prof. Zdzisław Libera poświęcił jubilatowi wykład pt. „Dzieło Juliana Krzyżanowskiego”. Jubilat zaś mówił o dziejach polonistyki warszawskiej w okupowanej Warszawie, przypominając lata, w których profesorowie i asystenci UW — dziś już w dużej części nieżyjący — przejawiali niezwykłą ofiarność i poświęcenie.

Zespół profesorów UW — uczniów J. Krzyżanowskiego wreczył mu zborowa pracę katedry literatury polskiej — księgę pt. „Dzieło polonistyki warszawskiej”, maszynopis, którego ogłoszenie drukiem w PWN przewidziane jest na rok bieżący. Trudno o trafniejszy i godniejszy sposób uczczenia działalności profesorowej.

Julian Krzyżanowski, obchodzący 25-letnią działalność profesorską w Warszawie, rozpoczął twórczość naukową o wiele wcześniej, bo już w roku 1913. Ogłosił dotąd 600 pozycji bibliograficznych, w tym kilkanaście dzieł większych. Ważne są jego prace w zakresie staropolszczyzny: „Romans pseudohistoryczny w Polsce XVI wieku”, „Od średniowiecza do baroku”, „Z wieku Reja i Stańczyka” i in. Literatura polska od początków do wystąpienia Mickiewicza zamknął w syntetycznym ujęciu — w pracy wydanej już dwukrotnie. Książka angielska o romantyzmie polskim przyczynił się do spopularyzowania w świecie wiedzy o najświetniejszym okresie poezji polskiej. Gruntowne studia poświęcił znakomitym powieściopisarzom: monografie — Reymontowi i Orkanowiczowi, „Kalendarz życia i twórczości” — Sienkiewiczowi.

(Dokończenie na str. 6)

# H O Ł D

(Dokończenie ze str. 1)

Stefania Lobaczewska: Niechęć Chopina do programowości jest tak wielka, że albo wybiera tytuły pod względem programowym jak najbardziej neutralne („Prelude”, „Impromptu”), albo nierzadko nawet nazwa danej formy nie pokrywa się z treścią uczuciową w niej zamkniętą („Scherzo”). (...) Chopin w przeciwieństwie do Schumanna nie lubi mówić o swym, w całości na wewnątrz skierowanym, życiu uczuciowym. Podaje je w swej muzyce o ile możliwości bez komentarzy, osiagając jednak zawsze maksymalną czytelność. (1950)

Ignacy Paderewski: Tylko w tej muzyce tkliwej a burzliwej, cichej a namiętnej, rzewnej a mocnej i groźnej, w tej muzyce, co się rada wymyka od dyscypliny metrycznej, co się uchyla od karności rytmu, co nie znosi metronomu jak zniechęconemu rządowi, w tej muzyce słyszy się, czuje, poznaje, że naród nasz, ziemia nasza, że cała Polska żyje, czuje, działa i tempo rubato. (...) On nasz, a my jego, albowiem w nim się objawia cała nasza zbiorowa dusza. (1910)

Henryk Heine: Należy poniekąd do trzech narodowości: Polska dała mu ducha rycerskiego i pamięć swych cierpień, Francja wdzięku, Niemcy romantyczność. Natura zaś obdarzyła go wiotką, wdzięczną i pełną powabu postaćią, najszlachetniejszym sercem i geniuszem. Tak jest, należy przyznać Chopinowi geniusz w pełnym tego słowa znaczeniu, jest on nie tylko wirtuozem, ale i poetą; umie on poezję, którą dusza jego na wskroś jest przejęta, na jaw wydobyć i w ton wcielić, jest poetą w tonach i nie dorównuje rozkoszy, jaka nas napawa, gdy siedzi przy fortepianie i improwizuje. Nie jest wtedy ani Polakiem, ani Francuzem, ani Niemcem; pochodzenie jego jest wyższe: jego ojczyzną rzeczywistością jest ojczyzna Mozartów, Rafaelów, Goethech. (...) Chopin jest genialnym poetą muzycznym, którego imienia nie godzi się inaczej wymieniać jak — obok Beethovena, Mozarta i Rossiniego. (1832)

„Ruch Muzyczny”: W sztuce jego nie znać śladów rozdwojenia na sztukę polską i jakąś inną, uniwersalną sztukę. Świadomie — jak o tym świadczą jego własne wypowiedzi — kładł podwaliny pod muzykę narodową — ale mu nie przychodziło do głowy, że można to robić inaczej dla Europy, a inaczej na własny, polski użytek. (1960)

Stanisław Niewiadomski: „Ostateczny cios szkole Chopina — pisał p. Roguski” — zadał zdaniem moim kierunek dziś panujący w muzyce. Odrzuca zakończoną melodię, foremne okresy, a wprowadza natomiast motywy, bezkształt zamiast ładu, anarchię zamiast symetrii. Dopóki nie nastąpi reakcja w komponowaniu, dopóki nie otrząśniemy się z wpływu Ryszarda Straussa, dopóty chęć wskrzeszenia szkoły Chopina pozostanie marzeniem. — Równa się to hasłu: zawracajcie! (...) Gdyby „Chopin w nauce harmonii” miał dla nas obecnie istnieć tylko w figurze chromatycznej, w dysonansie, we frazie niedokończony lub w nerwowym zwrocie modulacyjnym, to któż wie, czy późniejsze pokolenia nie znalazłyby się w prawie zawołania z goryczą: Mieli nad sobą gwiazdę, która swą jasnością wskazywała im drogę prostą i własną. A dali się zawieść na manowce — ciemne i obce!... (1910)

Za zbrocenia uważać by można te momenty jego twórczości, o których Schumann powiedział, iż przynoszą zwroty „nie będące już muzyką”... dążeniem zaś naprzód — wszystko nowe, co stworzył w zakresie formy, harmonii, melodii i rytmu. Te rzeczy „nowe” współcześni przyjmowali z zachwytem, zbrocenia zaś przebaczały mu, jak się darowuje komuś ukochanemu nawet i kaprysy jego. Ostrzejsi w sądach dopatrywali się w nich chorobliwość. Ale nowsza krytyka wykreśliła zupełnie ten wyraz ze swego słownika, bo muzyka dzisiejsza wprowadza środki rozstrójowe, wobec których tamte nie wydają się niczym anormalnym. (1910)

Karol Szymanowski: Był on jednym z największych „rewolucjonistów” w muzyce, burząc bowiem tradycjonalizm formalny i „duchowy” otworzył jej drogę do wolności. Jednak instynkt nieomylny, wysoka kultura, ukazały mu od razu drogę do własnej niezłomnej „dyscypliny”. (...) W do-

browolnych owych więzach dopiero rozwinęło się jego métier — precyzyjne „rzemiosło” jego formalnej doskonałości. „Polskość” dzieła Chopina nie ulega najmniejszej wątpliwości; nie polega ona jednak na tym, iż pisał on również polonezy i mazurki... w które nierzadko z wewnątrz wciśkano... obcą im treść ideowo-literacką. W bezwzględnej „muzyczności” swych dzieł wyrósł on ponad swą epokę w podwójnym tego słowa znaczeniu: jako artysta poszukujący form stojących poza literacko-dramatycznym charakterem muzyki, cechującym dążenia romantyzmu, jako Polak odpowiedzialny w nich nie istotę ówczesnego tragicznego zalamania się dziejów narodu, a dążył instynktownie do ujęcia ponad dziejowego niejakiego... rozumiejąc, iż tylko na drodze wywołania sztuki z zakresu dramatycznej treści dziejowej zdoła zapewnić jej najtrwalsze a prawdziwie polskie wartości. Taki stosunek do zagadnienia „muzyki narodowej”, genialne w własnej jego sztuce rozwiązanie stało się przyczyną powszechnej zrozumiałości dzieła Chopina poza granicami Polski... umieściło je na wyżynach sztuki wszechludzkiej. Poza tym stało się punktem wyjścia dla usiłowań dzisiejszych. W tym tal się przedziwna zagadka jego wieczystej współczesności. (...) Fryderyk Chopin jest wieczystym przykładem, czym być może muzyka polska, a także jednym z najwyższych symboli zeuropejszowanej Polski... (1923)

Dla nas — polskich muzyków współczesnych — jest on rzeczywistością zawsze żywą, siłą czynną, wywierającą wpływ bezpośredni i spontaniczny na cały rozwój naszej muzyki współczesnej. (...) Dzieło Chopina ze wszystkimi osobliwościami swego stylu, stanowiące najszczytniejsze do dziś dnia osiągnięcia muzyki polskiej, bynajmniej nie zamyka się w ciasnych ramach uczuć jednego narodu nie wychodzących poza granice etniczne, przeciwnie, ta muzyka polska, osiagająca swym szczytnym wysiłkiem poziom najwyższej sztuki „międzynarodowej”, potrafiła z rzadką intensywnością wlać się w uczuciowość wszystkich, potrafiła zaimponować nieznaną i zadziwiającą koncepcją swojego ówczesnego „modernizmu”, piękna muzycznego, które od stu lat prawie nie straciło ze swojego czaru, tworząc w ten sposób tajemnicze więzy pomiędzy nami a całą ludzkością. (...) Jego promienny i tajemniczy uśmiech zdaje się być zachętą dla nas, zachętą do ciężkiej pracy, do upartych wysiłków, aby podnieść muzykę współczesną na tę wyżynę i do tej godności, jaką on potrafił — w swej samotności — nadać jej przeszło przed stuleciem. (1931)

Stefan Witwicki<sup>9)</sup>: Chodząc jeszcze in hac lachrymarum valle, chciałbym doczekać opery Twojej kompozycji dla powiększenia Twojej sławy nie tylko, lecz oraz dla korzyści, którą twoja — takowa kompozycja sztuki muzycznej w ogólności przynieść może, w szczególności zaś kiedy przedmiot opery użyty był w historii istno polskiej. (...) Dopiero w operze w prawdziwym świetle pokazać się może i nieśmiertelne życie otrzyma. Ein Thonstück auf dem clavier (sagt Urban<sup>10)</sup> verhält sich gegen ein solches für den Gesang, oder andere Instrumente wie der Kupferstich zu dem Gemälde. (1834)

Feliks Mendelssohn-Bartholdy: Miko mi było obcować znów z prawdziwym muzykiem nie z takimimi półwirtuozami i półklasikami, którzy chcieliby w muzyce połączyć dostojność cnoty z rozkoszą grzechu, lecz z takim, co ma swój własny, wyraźny wytknięty kierunek. A chociaż jego kierunek różnił się krótko od mojego, mogę się z nim doskonale porzucić; byle nie z tymi półludźmi. (1835)

Franciszek Liszt: Pełne genialnych melodii, przedziwnych pomysłów rytmicznych i wybitnych nowości w układzie harmonicznym (utwory jego) muszą zająć odpowiednie miejsce w historii muzyki i znaleźć większy poklask aniżeli niejedna rozleglejsza kompozycja grywana przez dwie orkiestry oraz melodie śpiewane i powtarzane przez różne primadonny. (...) Widocznie nie chciał pisać dzieł symfonicznych, i to nie z powodu skromności lub niestosownej pogardy, tylko z jasnego i wyraźnego poczucia formy odpowiadającej mu najlepiej. Taki trafny wybór to jedna z właściwości geniuszu w każdej gałęzi sztuki, a szczególnie w muzyce. (...) Daleki od poszukiwania grzotów orkiestry, włożył Chopin wyraz swej myśli w klawisz, które potrafiły odtworzyć całą jej siłę mimo braku efektów zespołu i pedzła dekoratora. Dotąd

jeszcze nie oceniono prawdziwej wartości delikatnych linii tych utworów, bo w dzisiejszej dobie świat jest zdania, że na miano wielkiego kompozytora zasługuje ten, co pozostawił co najmniej pół tuzina oper, tyleż oratoriów i parę symfoni. (...) Taki sposób osądzania geniuszu z punktu widzenia ilości i objętości dzieł jest bardzo rozpowszechniony, niemniej jednak niesprawiedliwy. (1852)

**Antoni Rubinstein:** Zawsze tak było, że wszyscy wielcy ludzie oddawali z siebie wszystko najcienniejsze i powiedziałbym najpiękniejsze — fortepianowi, lecz bardem, rapsodem, duchem i duszą tego instrumentu — jest Chopin. Czy to fortepian natchnął go, by pisał dla niego, czy Chopin zaczarował klawisze — nie wiem, lecz wiem, że jedynie zatracenie się jednego w drugim mogło zrodzić twory tak doskonałe. (1889)

**Arthur Hedley:** Zbyt długo świat musiał wysłuchiwać przesadnych, przerwanych wykonań wykonawców wirtuozów starszej generacji, którzy zupełnie nie mieli szacunku dla chopinowskiego tekstu. Jeśli ktoś posłuchał, tak jak ja, nagranych zrobionych wiele, wiele lat temu przez owych długowłosych wirtuozów starej generacji, byłby zdumiony przekonując się, jak bardzo wynaturzali oni dzieło Chopina. Jestem bardzo zadowolony z nowego rozsądnego i zdrowego stosunku do tekstu Chopina, z troskliwej interpretacji jego tekstu. Wszystko, co Chopin miał do powiedzenia, jest na papierze i zupełnie zbędne są fantazje oparte na czysto osobistej sympatii czy antypatii pianistów, którzy robią najrozmaitsze sztuczki, żeby zdefiniować, a tym samym zepsuć dzieło Chopina. Mam na myśli wirtuozów starszej daty, którzy często zupełnie zmieniali charakter utworów Chopina... (...) Młode pokolenie pianistów, jak to obserwujemy na konkursach chopinow-

skich, otacza Chopina szacunkiem, szanuje jego tekst. (1960)

**„Ruch Muzyczny”:** Analiza dzieł Chopina nie przyniesie nam więcej niż analiza dzieł Bacha, Mozarta, Beethovena czy Schumanna. Kształt jego melodii, harmonii i rytmu jest ograniczony zasobem środków, których używał, a które powtarzają się w zdumiewającej ilości wariantów — poza którymi kryje się to, czego na szczęście zanalizować się nie da. Gdybyśmy bowiem posiadali potrzebne klucze do wyjaśnienia istoty sztuki, tobyśmy ją niewątpliwie zabili. Jej treść stoi w sprzeczności z tym dążeniem umysłu, który wierzy, że wszystko da się wytłumaczyć, zrozumieć i wyjaśnić. Trudności, z jakimi sztuka para się w naszych czasach, leżą także i tutaj — w tym dążeniu, z którego Chopin śmiały się z całą pewnością. Sztuka apeluje do innych niż umysłowe tylko pokładów naszej natury. Nie zapominałmy o tym przy analizie! (1960)

**Cyprian Norwid:** Rodem warszawianin, sercem Polak, a talentem świata obywatel, Fryderyk Chopin zeszedł z tego świata. Choroba piersiowa przyspieszyła śmierć za wczesną artysty w trzydziestym dziewiątym roku życia — dnia siedemnastego miesiąca bieżącego.

Umiął on najtrudniejsze sztuki zadanie rozwiązywać z tajemniczą biegłością — umiał bowiem zbierać kwiaty polne, rosy z nich ani puchu nie otrząsając najlżejszego. I umiał je w gwiazdy, w meteory, że nie powiem, w komety, całej świecącej Europie, ideału sztuką przepromieniać. (25 października 1849)

**Z listów Chopina do Delfiny Potockiej:** (...) Mało jest takich geniuszów, którzy wszystkie instrumenty czują, i wszystko z każdego dobyć potrafią. Ja znam dwóch takich tylko: Bacha i Mozarta. (...) Ja fortepian najlepiej czuję i śmieję się z tych, co uważają, że zdurnie-

jąc, odrzucając wyższe widoki, a tylko na fortepian pisząc. Ale to mój grunt, na którym najmocniej stoję.

(...) Najdziwniejszym z ludzi jest geniusz, ten tak daleko w przyszłość wybiega, że ginie z oczu ludzi z nim żyjących, a nie wiadomo, które pokolenie pojąć go zdoła.

(...) Wpakuj twórczość Mozarta w jego życie — pomyśl, ile pracy i najjenialniejszej twórczości zmieściło się w tak krótkim życiu. W moim wieku ileż on już największych dzieł stworzył, jaki ja mały, jak się z nim porównam. Co prawda, on wszystko objął i ogarnął, co się tylko twórczością muzyczną nazywa, a ja w lepetynie mam tylko klawisze... Ale wiem swoje granice i wiem, że zdurniłbym się wtedy, gdybym się sadził i spinał zbyt wysoko, zdatności po temu nie mając.

(...) Chciałbym tylko napisać i zostawić abecadło tego, co naprawdę polskie, a nauczyć odrzucać polskość fałszowaną.

**Z listów Chopina do Tytusa Woyciechowskiego w Poturzyniu:** (...) „Dziennik Urzędowy” także kilka stronnie poświęcił moim panegirykom, ale między innymi w jednym z swoich numerów takie głupstwa mimo najlepszej chęci poklecił, że w tym desperacji do chwili, w której przeczytałem odpowiedź w „Gazecie Polskiej”, jak najsprawiedliwiej odejmującą mi to, co tamten w egzageracji przydał. Trzeba Ci wiedzieć, że w tym artykule „Dziennika Urzędowego” utrzymuje, że jak Mozartem Niemcy, tak Polacy mną się szczycić będą; nonsens bardzo jasny. (Warszawa, 10 kwietnia 1830)

Piętnaście lat temu, w numerze 10 — 12 z dnia 15 stycznia 1945 r. „Odrodzenia”, wychodzącego wtedy jeszcze w Lublinie, ukazał się mój krótki artykuł zatytułowany „Chopin pod okupacją”. Choć byłem wtedy zajęty studiami o zupełnie innym kierun-

ku, uważałem że jest to właśnie temat godny tego, aby podzielić się nim z czytelnikami przede wszystkim po polskim okresie „Nacht und Nebel”. Chyba podobnie myślał J. Przyboś, który — mimo nieudolnego mojego pióra — artykuł ten do druku przysłał. Pisatem wtedy m. in.: „To, co zawsze odczuwałem słuchając Chopina, podczas tych pięciu lat ustokrotniło się. To nie był już abstrakcyjny żal, rozpacza, bunt wyrażony dźwiękami, to była nasza własna rozpacz, nasz własny w ściskach — bunt”. Dziś na pewno inaczej słyszę i widzę sprawę muzyki i tak jest właśnie dobrze, jeżeli byłem poszedłem naprzód, to również i dlatego, że Chopin we mnie rozwinął się. Uważny Czytelnik dostrzeże, pod którymi to wyjątkami z listów i prac tutaj przytoczonych podpisałbym się. Gdy umierał Beethoven, Chopin miał siedemnaście lat. Byli więc sobie prawie współczesni. Jednak nawet najodważniejsze z dzieł Beethovena nie zapowiadało muzycznego XX wieku. Wrażliwość ucha, sens harmoniczny, słownictwo i pisownia muzyczna, koncepcje techniczne u Chopina sprawiają wrażenie, że tego Rafaela tonów (jak o nim pisał Schumann) dzielił wiek cały od mistrza z Bonn. Strawiński zrezygnował ze zdobytych pianistycznych traktując fortepian raczej jako instrument perkusyjny, ponieważ stwierdził w sobie niemożność nowych po Chopinie odkryć. Odbił się w Warszawie Konkurs Chopinowski — sympozjon młodych już nie tylko z Europy, ale i z obu Ameryki, Azji i Australii. Krąg chopinowski powiększył się. Nie dlatego, że muzyka nie zna granic. I nie tylko dlatego, że Chopin był genialnym kompozytorem, ale i dlatego, że był genialnym prekursorem.

Kończąc tę pracę poświęconą 150 rocznicy urodzin Fryderyka nie mogę odmówić sobie ojcowskiej satysfakcji przytoczenia tu listu, który podyktowała mi moja prawie pięcioletnia córka z prośbą o wysłanie go na cmentarz Père Lachaise w Paryżu:

Lela: Mój kochany Chopinie! Zebyś był żywy i żebyś przyjechał do nas.

Opracował Zbigniew Wielicki

# Wyprowadzenie w dziedzinie teatru

## IRENA SŁAWIŃSKA

Osiągnięcia najmłodszej z polskich nauk humanistycznych: teatrologii są wciąż jeszcze mało znane. Wprawdzie niedawno publiczny hołd teatrologii polskiej złożył w imieniu jej wielkiej już współtowarzyszki, historii literatury, K. Wyka (Chwałę teatrologów, Nowa Kultura, 31 stycznia 1960), wydała się jednak, że nie pokwitowaliśmy jeszcze wielkiego wkładu młodej i niezależnej grupy, skupionej od 1952 roku wokół „Pamiętnika Teatralnego” w Warszawie, zwłaszcza że grupa ta nie miała dotąd okazji do zaprezentowania swej pracy w żadnej innej formie: nie brała bowiem czynnego udziału w żadnej z trzech wielkich sesyj naukowych (ku czci Mickiewicza, Wyspiańskiego i Słowackiego).

dziejów scenicznych dramatu polskiego, np. Wyspiańskiego.

Wydaje się jednak, że największą zasługą pisma jest postawienie przed historią literatury nowej problematyki badawczej. W ciągu ostatnich ośmiu lat stało się zupełnie oczywiste, że analiza utworu dramatycznego musi być podbudowana znajomością konwencji teatralnej epoki, że musimy wstępnie poznać dokładnie doświadczenia teatralne poety, stopień jego teatralnej świadomości, że wiedza ta jest niezbędna dla zrozumienia samej struktury dzieła.

Znakomitych dowodów na tę tezę dostarcza ostatni tom Pamiętnika Teatralnego (z. 1—2—3, r. 1959), zwłaszcza rozprawa Z. Raszewskiego pt. „Teatralny kształt i „Balladyny”. Kształt ten wymykał się nawet dobrzy znancom Słowackiego, jeśli nie znali teatru romantycznego i jego możliwości. Gaffa tego rodzaju zdarzyła się nawet — Kleinerowi, jak przypomniał Raszewski. Charakterystykę dramaturgii Słowackiego, (zresztą z okazji „Beatrycy Cenci”, nie zaś „Balladyny”) powiedział Kleiner: „Jak dramaturgowie niemieccy burzy i naporu, nadużył Słowacki szekspirowskiej swobody zmieniając dekorację, nie dostosowanej do wymagań sceny nowożytnej” („Pam. Teatr.”, s. 171). Otóż Raszewski, powołując się na teatr francuski i angielski, dowodzi, że „swoboda zmiany dekoracji” jest bynajmniej nie szekspirowska, lecz romantyczna (tzw. zmiana otwarta, changement à vue). Poza tym nawet najśmielsza fantastyka „Balladyny” wyrasta, jak się okazuje, z dobrej znajomości teatru współczesnego i jego efektów. Słowacki widział zresztą w Paryżu balet „Sylfida” i operę „Robert diabeł” oraz wiele innych przedstawień operujących napowietrzными lotami, zjawami, zaczarowanym jeziorem itp. Balladyna, jak przekonuje nas Raszewski — stworzona została na „instrument teatru romantycznego”, podobnie jak i inne jego dramaty z dojrzałej epoki twórczej. Nieszczęściem nigdy na tym instrumente nie były — i nie będą już — odegrane.

„Jego (scil. Słowackiego) postulaty wobec maszynistów były więcej niż skromne... Apoteoza Goplany w V akcie miała się prawdopodobnie odbyć na tzw. „glorii”. Duch ukazałby się na

„transparencie”, Skierka i Chochlik lataliby na flugu. Niewiele fatygił nawet dla przeciętnego teatru z czasów Słowackiego” (Raszewski, c. s. 173).

Podobnym wnioskiem kończy się studium Jarosława Maciejewskiego „Zagadka Kordiana”: „Kordian napisany został jako monumentalne widowisko na wielką scenę, wyposażoną w najnowocześniejsze wówczas zdobycze techniki teatralnej, scenę podobną do owych bulwarowych scen paryskich, a jeszcze konkretniej: napisany został jako widowisko w typie przedstawień z Cyku Olimpijskiego” (op. cit., s. 128).

Poznanie konwencji teatralnej, która mogła zaważyć na powstaniu dramatów Słowackiego, wymaga oczywiście specjalnych studiów. W pewnym zakresie ułatwia to dziś wydana w polskim przekładzie książka Alley-Viala pt. „Inscenizacja romantyczna we Francji, PIW, 1958.

„Instrument teatru romantycznego”, o którym pisze Raszewski, to nie tylko scenografia i maszyneria. To także — pewien typ gry aktorskiej. Dramaty Słowackiego, zwłaszcza zaś „Balladyna”, powstały nie bez wpływu aktorów romantycznych. Królowa-zbrodniarka, zwraca uwagę Raszewski — stanowiła główne emploty sławnej Mlle George; dość często opisuje Słowacki jej grę w listach do matki. Wolno przypuszczać, że ona to była konkretnym modelem Balladyny.

Drugie odkrycie tego samego tomu „Pamiętnika Teatralnego” dotyczy Krasińskiego. Odkrycie to może należałoby zaopatrzyć komentarzem: listy Krasińskiego są przecież od dawna znane, prawdziwą rewelacją stał się jednak wybór ukazujący Krasińskiego-znawcę teatru i bystrego krytyka. I Mickiewicz, i Słowacki mówią o teatrze; wypowleli ich mają albo charakter programowych rozważań (słynna Lekcja XVI Mickiewicza), albo też wzmianek o widzianych przedstawieniach (u Słowackiego). Tylko Krasiński umieszcza w swoich listach znakomite recenzje teatralne. Ten najbardziej wyształcony i uporządkowany intelektualnie z polskich poetów romantycznych ma wielkie wyuczucie teatru i wyważony sąd. Może najbardziej zdumiewa jego szczegółowa analiza gry aktorskiej (Marii Malibran czy Rachel) w epoce, gdy zawodowi krytycy teatralni kwitowali zazwyczaj grę aktorów banalnymi

- 1) Ernst Kretschmer (ur. 1888), psychiatra niemiecki, badał związek między budową ciała a temperamentem. „Budowa ciała a charakter”, „Ludzie genialni”.
- 2) Ludwigi Reil (1791—1813), muzykolog berliński, od 1826 krytyk muzyczny w „Vossische Zeitung”.
- 3) Ignacy Feliks Dobrzyński (1807—1867), kolega Chopina w klasie kompozycji Elsnera, kompozytor dzieł symfonicznych i oper, utworów komnatowych i pieśni.
- 4) Z przemówienia powitalnego wygłoszonego na otwarciu Międzynarodowego Kongresu Muzykologicznego poświęconego twórczości Chopina 16.II.1960.
- 5) Z listu do matki.
- 6) Stefania Łobaczewska, muzykolog. „Zarys historii form muzycznych”.
- 7) Nr 2, 15—29 lutego 1960. Artykuł redakcyjny podpisany przez z. mc. (Zygmunt Mycielski).
- 8) Gustaw Roguski, profesor w Warszawskim Instytucie Muzycznym.
- 9) Stefan Witwicki (1800—1847), poeta, zwolennik romantycznego kierunku, należał do kół literackich przyjaciół Chopina w Warszawie. Do kilku jego wierszy Chopin skomponował muzykę.
- 10) Christian Urban, niemiecki teoretyk i kompozytor I połowy XIX w.
- 11) Fragment z wywiadu udzielonego przez Arthura Hedleya, chopinologa angielskiego i wiceprezesa Jurysdykcji tegorocznego Konkursu Chopinowskiego, red. L. Szwałcowi. „Nowa Kultura” Nr 10 (519).
- 12) V. 7).
- 13) Daty tych listów nie są ustalone.
- 14) Tytus Woyciechowski, kolega szkolny i powiernik Chopina, żył w majątku swoich rodziców w Poturzynie w powiecie tomaszowskim na Lubelszczyźnie. W lipcu 1830 Chopin spędzał wakacje w Poturzynie.



Pomnik Fryderyka Chopina w warszawskich Łazienkach (dzieło Władysława Szymanowskiego)

## Nobilitacja gatunków

**S**YTUACJA mogłaby być punktem wyjścia filmu kryminalnego: ktoś zabija starszego mężczyzną, jako sprawcę zbrodni staje przed sądem jego syn. Wszystko — przeszłość, świadkowie, okoliczności zbrodni — zdaje się obciążać oskarżonego. Sprawa toczy się przed ławą przysięgłych, werdykt musi zapasć jednomyślnie. W pierwszym głosowaniu na 12 głosów — 11 stwierdza „winnien”. Treścią filmu będzie „rewizja” procesu, przeprowadzona przez tego dwunastego, który niezłym detektyw-amator polemizuje z całym materiałem dowodowym i jeśli nie dowodzi niewinności chłopaka, to w każdym razie mocno podważa tezę o jego winie. Ale „Dwunastu gniewnych ludzi” (przekład tytułu zresztą niezbyt fortunny) nie jest filmem kryminalnym i nie chodzi u o zaabsorbowanie uwagi widza zrecznie zasuplaną zagadką. „Dwunastu gniewnych” to film o odpowiedzialności człowieka wobec człowieka i ludzkich spraw. Sytuacja jest skrajna — przysięgli mają wyrokować o życiu lub śmierci oskarżonego. A mimo to, mimo iż z urzędu obowiązują ich obiektywizm i sumiennosc — z lekkim sercem gotowi są posłać chłopaka na krzesło elektryczne, powodując się nabytymi uprzedzeniami, pobudkami osobistymi czy po prostu wygodnictwem i lenistwem intelektualnym. Film apeluje więc do sumienia wszystkich powołanych do sądenia innych — a kóż z nas w mniejszym czy większym stop-

### EUGENIUSZ ZYTOMIRSKI

## Z i m a

Zima z obrazków — wspomnieniami, zima ze wspomnień — obrazkami, sankami wraca, tornistrami.

Kto mi ją zwróci, kto ją da mi?

Jest imię w ziemie.  
Czyje imię?  
Jest ślad na śniegu.  
Śladu nie gub.

I widzę: zima siwobroda,  
I myślę: zima — szkoda, szkoda.

A to nie zima, to uroda,  
archanioł biały, panna młoda.

niu do nich nie należą? Dzieło Lame-ta ukazuje zarazem, jak wiele może jednostka, jeśli kieruje się dobrą wolą i wiarą w słusznosc sprawy, zwłaszcza gdy tym uczuciom towarzyszy odpowiedzialny poziom intelektualny. Można powiedzieć, iż film ten jest lekcją poglądom na temat społecznej roli intelektualizmu. W parze z walorami humanistycznymi idzie frapująca forma filmu, którego akcja rozgrywa się w ciągu paru godzin i nie wychodzi poza ściany jednego pokoju. Nawiasem mówiąc, trudno nie zgodzić się z rozgoryczeniem Adama Tar-nę (patrz nr 1 „Dialogu” z tego roku), któremu „spec” naszej kinematografii zaprzepaścił szansę filmową „Zwykłej sprawy”, tak uderzająco podobnej do późniejszych w czasie „Dwunastu” (Dokończenie na str. 8)

## Młodość naukowa upłynęła w Lublinie

(Dokończenie ze str. 4)

Krzyżanowski należy do nielicznych już dziś uczonych ogarniających całość dzieł literatury polskiej, a nieobecnie mu były badania nad literaturą innych narodów; m. in. poświęcił monografię „Bylinom” ruskim. Nie stronił od zagadnień teoretyczno-literackich; szereg studiów napisał i w tym zakresie. Nie ma epoki w literaturze polskiej i nie ma problemu w badaniach literackich, które nie leżałyby w kręgu zainteresowań J. Krzyżanowskiego i w sterze jego możliwości badawczych. Szeroka skala tematyki od artykułu Kazań świetokrzyskich, po raz pierwszy badanych z tego aspektu, aż po „Pełzająca decha w kralinie nauki” (światełko o Tu-wimie), od „Morfologii bajki” po „Kontak w literaturze”.

Obok literatury główną dziedziną badań Krzyżanowskiego jest folklor. Z tego zakresu zanotować wypadnie przede wszystkim „Paralele”, tom studiów poświęconych pograniczu literatury i folkloru, jak również ważne prace dotyczące baśni ludowej i paremiografii. Odkrywcą i wydawcą wielu części staropolskich romansów, wydawcą dwu tomików Reja w Bibliotece Narodowej, stworzył w latach powojennych corpus wydawniczy czesłowskich pisarzy poszczególnych epok: Kochanowskiego, Orzeszkowej, Sienkiewicza. Przewodniczył komitetowi redakcyjnemu wrocławskiego wydania Dzieł Słowackiego, zrealizowanego trzykrotnie, i jubileuszowego wydania Mickiewicza.

Młodość naukowa Juliana Krzyżanowskiego upłynęła w Lublinie. Przez kilka lat po pierwszej wojnie światowej był nauczycielem szkół lubelskich, dyrektorem gimnazjum żeńskiego W. Arciszowej, zastępcą profesora KUL, jednym z założycieli i pierwszym wiceprezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W dawniejszych wspomnieniach Towarzystwa ogłosił w r. 1934 monografię pt. „Romans polski XVI wieku”, nagrodzoną w roku 1935 przez Lubelski Związek Pracy Kulturalnej pod prezesa Feliksa Araszkiewicza.

W jubileusz Krzyżanowskiego nie zabrakło przedstawicieli polonistyki lubelskiej. Obszerny list nieobecnej z powodu choroby prof. Janiny Garbaczowskiej (UMCS) został odczytany na uroczystym zebraniu. Delegację KUL stanowili: prof. Irena Sławińska, prof. Czesław Zgorzelecki, doc. Jerzy Starnawski. W imieniu uczelni przemówił prof. Zgorzelecki, przypominając lubelskie lata profesora.

J. S.

## KARTKI Z PODRÓŻY

(III)

### KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Na dworcu w Leningradzie znów powitanie: przedstawiciele Związku Pisarzy. Orłów z „egzystencjalistyczną” bródką (nie moda, ale zastanianie bliźni — pamiątki wojenne) bawił niedawno w Warszawie. Polonista Świacki dobrze mówi po polsku. Z nim będziemy się najczęściej spotykać. Oczywiście Borisów towarzyszy nam tutaj jak i w Moskwie.

Instalujemy się w „Astori”. Hitler tak był pewien zdobycia obleganego Leningradu, że kazał wydrukować zaproszenia dla generalacji i wyższych oficerów niemieckich na uroczyste przyjęcie w określonym dniu w tej właśnie „Astori”. W jednym z muzeów można obejrzeć kilka egzemplarzy tego świadectwa obłąkanej dufności.

Po śniadaniu przejazdka po mieście samochodem Inturista. Zatrzymujemy się przed pomnikiem Piotra I. Fotografujemy go. To: sobór Izaaka ze złoczną kopułą. Schodzę po schodach do Newy. Jest to bardzo szeroka rzeka. Na przeciwległym brzegu białe pałace, w dali po prawej stronie iglica świątyni Piotropawłowskiej. Chcę fotografować, ale towarzysze nagła mnie do auta. Nasz kierowca to uniknął w swoim rodzaju zna Leningrad doskonale, tłumaczy nam wszystko, syple datami związanymi z powstaniem czy restauracją zabytków i nazwiskami ich twórców, cytując Puszkina i Majakowskiego, wyraża się językiem wyszukany, używając takich wyrazów, jak „intymny” czy „metaforyczny”. Jest szoferem od 28 lat z przerwą wojenną. Z pewnością musiał być kiedyś „guidem”.

Miasto — piękne, prawdziwie europejskie. Ulice szerokie, przecinające się pod kątem prostym. Biel granitowych pałaców kontrastuje z czernią nie zamrożonej wody. Bo Leningrad to swego rodzaju Wenecja, położony na 101 wyspach ma blisko pół tysiąca mostów rozpiętych nad Newą, jej dopływami i kanałami (pierwszy stały most na Newie wybudował nasz Kierbedź). Kluczyny po mieście: mijamy Iglicę Admiralicji, meczet, jedziemy wybrzeżem Newy; oto „Aurora”, niepokąlny krążownik, który zrobił historyczną karierę. Ale na zwiedzanie go nie mamy czasu.

Wyjeżdżamy za miasto. Kierowca pokazuje nam miejsce, do którego dotarli Niemcy w czasie blokady, trwającej pół trzecia roku. Mijamy Pułkowo ze słynnym obserwatorium astronomicznym. Po chwili wjeżdżamy przez bramę egipską do Puszkina (dawnego Carskiego Siola). Widzę liceum, w którym się kształcił poeta. Zatrzymujemy się przed pałacem Katarzyny II, aby trochę rozprostować kości, bo w aucie było ciasno i niezbyt wygodnie. Fotografuję kolegów na tle pałacu. Wątpię, czy zdjęcia się uda. Wciąż ani promienia słońca i już zmierzcha, bo to okres zimowych „czarnych” dni — przeciwieństwa letnich „białych” nocy. Tak bym chętnie został tu dłużej przylgając się do dzieciarni zjeżdżającej na saneczkach, pospacerował po całym parku Katarzyny i poglądał jego piękne zakątki: te łazienki tureckie, fontanny i sztuczne jeziora, ale w zimie nie miałyby to sensu, zresztą już późno. Wracamy na obiad. Potem — dwugodzinna przejazdka z Leonem Pasternakiem po całym Nowym Prospekcie aż do Placu Powstania. Wieczorem — w operze im. Kirowa na „Borisie Godunowie”. Sala obrzydliwa — cztery piętra dla widzów. Na scenie w pewnych chwilach chyba do dwustu statystów, którzy wcale nie zachowują się statycznie, ale naprawdę grają. Orkiestra Sostakowicza, który jest na widowni. Wywołany przez publiczność stanął przy jej oklaskach na scenie i złożył ukłon.

Nazajutrz wizyta w Pałacu Ślubów, a potem twierdza Piotropawłowska. Cóż, operujemy kontrastami:

Głowa moja...  
płacz wina burzliwych włosów  
strumień niemy.  
Ja chcę być żółtym żaglem  
W tę krajinę, dokąd popłyniemy  
(S. Jesienin „Spowiedź chuligana”)

Ulica toczyła się w dół setkami „kocich łbów”. Tym razem nie podkreślał jej chodnika czarny przerywnik zwykle drzemających tu rzędem dorożek.

Z bramy wyprysnęło kilku chłopków. Jeden, opalony, o bardzo jasnej czuprynie, spadającej na twarz, zataczał się. Dwaj popychali go, chcąc szturchaćkami zawrócić. Mogli mieć około lat piętnastu, a ten ładny — ze dwanaście. Chichotał łaskotliwie.

— Oddaj karty, do cholery! — stumionym głosem syczał wyższy, brzydki.

— Oddaj, słyszysz. Olek! — powtórzył drugi. Olek usiłował się wymknąć, lecz nieskoordynowane ruchy doprowadziły go do upadku. Uderzył głową o płyty chodnika. Podskoczyła jak piłka spadając na „kocie łby”. Jaśniejąca czupryna zgarnęła strzępki słomy, polatującej w kurzu. Chłopiec, usmarowany pyłem węglowym, rąbnął tą dzieciinną głową jeszcze raz w chodnik, aż dzwinknęło. Kopnął.

Nim zdążyło spostrzec tę scenę kilku przechodniów, poderwali Olka, kłębując się i pokrzykując. Zginęli w paszczy bramy. W progę nadepnęłam na rozbitą butelkę po winie.

Szłam do krawcowej. Na tej części schodów, które polykał strych, siedziało czterech. Olek walił z pasją kartami w deskę. Nie spuszył się: powie-dział grubym głosem:

— Dzień dobry!

Tylko tamci spojrzeli spođe łba.

Wielki, wspaniały Tarczan powie-dział:

— No, ciesz się do nas? Ale nie wy-trzymaj: sam na strychu. Musi być „próba” wiesz? Wszystkie moje chlo-pki z „próby”!

— Właśnie że wytrzymam!

— Cała noc?

— Aha!

Zamknęłam kłódzą wytrychem, gdy on z butelką w ręku wstępował w sam miazgły ciemności. Bał się. Po-ciągnął doży „haust”. Wtedy szkło za-częło wędrownym posłizgiem wymykać się z ręki. Na dnie pochłipywały resztki płynu. Pamiętał, że w samym rogu leżał jakiś podarty siennik. Tam się ukrył, przepłót strach. Ale gdy uszedł, z zięjącego wiatrem i starymi szmatami wnętrza usłyszał szelest kocich stóp. Zjeżyły się włosy. Jeszcze raz spoconą ręką podniósł do usz butelkę. Rozgrzewające wino o gorzkim posmaku zabułgotało w prze-łyku. Szelest nie ustępował. Potem za-częły migotać w głębi fosforujące błyski. Uderzył głową w belkę. Wy-dało mu się, że ktoś zdzielił go z roz-machem. Wiele iskier strzeliło do oczu. Omal nie krzyknął, ale przypomniał.

że musi przebrnąć „próby”. Sam Tar-czan chce go wziąć do swojej bandy. Gdy zwał się wreszcie na trzaska-jący pod nogami siennik, był cały zła-ny potem. Opróżniona butelka potę-czyła się z przerażającym dudnieniem, a zmotra usiadła na dymiącej pierś. Zasnął.

Strasznie się bał, ale „wygrał” pró-bę! O piątej rano wypuścił go z do-browolnego więzienia, poklepując z aprobatą po ramionach. Wyszedł nad-rabiając miną, ale potem — zwi-miotował.

Matka biadoliła, że waleśa się już po nocach! Serce jej nie wyczuło, że był tak blisko, zaledwie o piętro wy-żej, że zasypiając szepotał:

— Mamo, boję się, ale nie mów...

Spotykałam go w różnych sklepach tej dzielnicy. Kupował cukierki, albo przynosił pełną siatkę zbieranych na sprzedaż butelek. Uderzając o siebie, wydawały ostre podźwięki. Pogodny dzień polyskiwał w nich zielono, żół-

## ŻAGIEL

to, niebiesko — urzekającym wspom-nieniem opróżnionych wnętr.

Sprzedawał, a potem w kieszeniach harcercskich portek brząkały zasobnie złotówki, które przejmowały orkie-strowy ton sprzedanego szkła.

Przez pewien czas gromadził książ-ki. Taniutki wydania. Czytał. Zresztą zdaje się, że wtedy Tarczan gdzieś wyjechał.

— Olek nigdzie już wieczorami nie gania! On zawsze bał się ciemności, moja pani!

— Czyta i czyta, moja pani!

Okazało się, że ściąga z kiosków, przynosi z kiermaszów. No, cóż takie sobie: „pięciopalcówki”!

Czytał. Zasyty w pryzmie brukow-ców tuż nad ustępem, rzadziej w do-mu, rozciągnięty plackiem na łóżku, żeglował chciwymi oczami po dalekich drogach świata. Wtedy otwierała się przed nim wolność: nie było szkoły — omdałego karceru dla jego ciała — spragnionego zdrowego ruchu — prze-ladującej umysł nadmiarem władno-ści nie dostosowanych do praktycz-nego życia. Nie było domu, z którego nic poza żarciem nie miało; gdzie zgiełk, kłótnie, lamenty wibrowały codzien-nie w wrzeczonych niesnasek. Był na-tomiast:

Kapitan „Jaskółki”, kursującej pomiędzy Nowym Orleanem a Rio de Janeiro... i młody porucznik Brown, który zameldował salutując: — Płyniemy na południowy wschód, znajdujemy się na Morzu Karaib-skim o trzysta mil morskich od południowych wybrzeży Kuby....

najpierw towarzyszyliśmy radosnemu obrzędowi i po ślubie wręczamy kwiaty parze nowożeńców, by później zapuścić się w mroki kazamatów. Znow powiało Pol-ską; w podziemiach pałacu komendatury jedną z piwnic zajmował Kościuszko. W ponurych bastionach własciwej twierdzy gnili wielu Polaków, a wśród nich — Waryński. Cele śmierci: tu siedział Żelabow, tam znów Uljanow — brat Lenina. Kawał męczeńskiej historii.

A sprawy ich katusz spooczywają w podziemiach barokowego, pełnego złoczeń soboru Piotropawłowskiego. Białe ich grobowce (tylko Aleksander II ma ciemny), ustawione trójkami, pyszną się swą wspaniałością, choć z pychy ich właścicieli i ich okrutnego imperium śladu nie zostało. Leżą tu symetrycznie od Piotra I do Aleksandra III carowie i carowie i wielcy książęta.

Po przykrych wrażeniach w twierdzy Piotropawłowskiej — znów kontrast: Plac Pałacowy, Pałac Zimowy, Ermitaż. Pięćdziesięciometrowa kolumna Aleksandra, wyższa od Vendôme'kiej. W obrzynie galerii obrazów przeszło 120 sal poświęconych malarstwu zachodniemu. Nie sposób obejrzeć wszystkiego, na to nie starczyłoby i tygodnia. Więc dzisiaj tylko Rembrandt — najbogatszy na świecie zbiór jego obrazów. Ponie-waż pogoda się nie poprawiła i do Tbilisi nie polecimy, zostaniemy w Leningradzie jeszcze przez dzień jutrzejszy. Do Ermitażu więc jutro powtórnie wpadniemy po raz drugi.

A wieczorem w Teatrze im. Gorkiego pięciogodzin-na „pila” przeróbki scenicznej „Idioty”. Nie pomogła i dobra gra niektórych artystów. Co tu mówić, wole Dostojewskiego w książce.

I znów Ermitaż. Po wczorajszym Rembrandcie — sale malarstwa francuskiego. Przez pomyłkę rozpo-częliśmy zwiedzanie od Picassa, posuwając się w cza-sie ku tyłowi. Zajęło nam to trzy godziny, najdłuższe zatrzymałmy się w salach poświęconych impresjo-nizmowi. Zbiory są tak bogate, że niektórzy z nich mają wyodrębnione dla siebie pokoje.

Mimo woli staliśmy się świadkami zabawnej sceny: Grupa dziewcząt w wieku od lat 12 do 14 zbyt dłu-

Skalkista wyniosłość zwalonych na podwórku kamieni otaczały wzdęte fale oceanu. Huczała jak kotłownia okrętu — tokarka z sąsiedniego warsztatu i już zaczynał padać deszcz na pierwszej stronie „Flibustierów”.

— Dawaj na kino! Jak nie dasz, nie pójdę do szkoły! — wołał od progu, gdy wpadał, by porwać kromkę chleba z kotletem.

— Chuchnij, Olek, — niepokoiła się matka — chuchnij: paliłeś? — Potrząsał lepietyną, błyskał ślepiami, w których świeciło jeszcze marzenie o przygodach na oceanie, porwał złotówkę i zaraz — trzaśnięcie drzwi.

— Mówię pani, moja pani, on nie tak winien, jak te przekłete chłopaki, co go wciąż wołają. Próbowałam przywiązywać za nogę do szafy, żeby nie ganiał, i o: widzi pani — szafę rozwalili, drań!

Rozejrzałam się. Czysto, nawet przyjemnie. W oknie rozkrzewiony oleand.

## NOCY HELENA PLATTA

der. Pozbijana na nowo, nieszczęsna szafa.

Chłopak sypiał wraz z matką, siostrą, ojcem, — spali pokotem na dwóch zsuniętych łóżkach.

— Sliczny on jak z obrazka, prawda, moja pani? — ciągnęła kobieta, gruba, o ładnej twarzy, — sezonowa robotnica cukrowni: — Nieraz patrzył: śpi z rumieńcami, zupełnie jak dziewczyna! Dziewczyn to on jeszcze nie lubi, ucieka!

Dziewczętami rzeczywiście się nie interesował od czasu wypraw do basenu, kiedy miał osiem lat i nie znał Tarczana. Wtedy wybierali się najchętniej całą ferajną. Udawało się nieraz „zwędzić” kąpiącym się gościom drobiazgi, czasem bieliznę. To tak, dla żartu! Najśmieszniejsze było straszenie dziewczyn: należało przycałować się, nutkując w najgłębszej wodzie, a kiedy smarkata syrenka popłynęła w ten rejon — zgnąć pałykiem głowę najeżonej. Uciecha. Uciekały i pisały ze strachu, niektóre — wracały z ciekawości. Tylko raz jedna czarna, co z małym bratem pływająca, zaczęła ryczeć głośno wychodząc na piasek. Matka zrobiła awanturę. Zabroniono łobuzłakom przychodzić, nawet z biletami. Ci, którym zabawa się nie sprykrzyła, i tak wślizgiwali się zawsze, ale nie chciał kąpieli w rzece, choć miejscami śmierdziała ściekiem. Wiatr na łakach opalał go jak skwarek i było przestronnie, szeroko. Bo z wiosną przenosili się z miasto. Zaszyci po zapadnięciu terenu, grali w karty, pili, kopali piłkę, barszkowali.

Pewnego razu byłam świadkiem stosowania jednej z „metod wychowawczych”.

— Znow nie byłeś w szkole, ty cholero, zakąłot Zabiję, draniu... zobaczysz, jak ojciec przyjdzie — dostaniesz!

Leż on wiedział, że będzie śmieszna draka, heca i wiele wrzasku.

— Ucieknę, aha!

— Zamknę drzwi. Nie wyjdiesz! Żebyś zdechł. Na moje nieszczęście takiego urodziłam!

Ojciec? — Był o wiele starszy od kobiety, chorowity, zdziwaczały. Stróż nocny w fabryce.

Matka sama wymierzyła karę.

W jednej chwili zakotłowało się w przestronnym, starannie wypucowanym pokoju. Z nakrytego serwetką postumentu spadł asparagus. Krzesło rąbnęło o podłogę. Kot parsknął już na pięcu, siostra — buczała. Mocny wyrostek bez trudu strząsnął z siebie chwytające go ramiona kobiety. Próbowala dosięgnąć kijem od szczotki. Jej poczciwa, głupia twarz, otwarta jak krążek sera, była zalana łzami.

— Draniu, bandyto!

Padła na kolana i w swym nierozumnym bólu całowała wierzgającą nogę! A noga wzbila się ponad jej głowę, szeroka twarz w rozwierzeniu jasnej strzechy mignęła gdzieś pod lampą — chłopak prysnął na balkon i gwałtowny tupot zaśludził, że to już schody. Tarczan gwizdał na ratunek z podwórka. Sąsiedzi rozchodzili się kiwając głowami. Wybił im za to kilka szyb.

Ze szkoły oczywiście „wagarował”. Nie pomogły upomnienia wychowawczynie. Został na rok następny w piątce. To samo groziło w szóstej klasie. Na prośbę rodziny, postarałam się o przeniesienie do innej szkoły. Podobno przyrzekł, że będzie już chodził. No, ale oczywiście było tak samo jak przedtem. Pewnego razu spotkałam chłopaka z ojcem. Odprowadzał go „siła”. Stary, bardzo brudny na twarzy, w płaczącym się, pół wojskowego kroju, płaszczu, trzymał syna za ramię. Nagle chłopiec stanął. Zrezygnował z sandała. Schyliwszy się, by go zapiąć, poczuł rozluźniający chwyt. Znow koci skok: na zakręcie ulicy, trzeszczącej natłokiem furmanek i ciężarówek — błysnął do ojca białymi zębami w pobłażliwym uśmiechu.

Stary zamamrotał brzydko i poczapiał z powrotem. Wieczorem przyniósł w obszarpanej teczce pod płaszczem parę pięknych brył węgla: zbliżała się zima!

Zastanawiałam się, dlaczego, nawet gdy „brał się” do nauki, nie chciał chodzić do szkoły? Umiał wyjaśnić siostrze zadanie z rachunków, opowiedzieć „czytanek” z biologii lub geografii. Ale interesowały go przede wszystkim rzeczy bezpośrednio związane z praktycznymi sprawami.

(Dokończenie na str. 8)

## WYPRAWA W DZIEJE TEATRU

(Dokończenie ze str. 5)

ogólnikami: „wyśmienita”, „znakomita”, „prawdziwa”, „trafnie udana”. Wyimki z listów Krasńskiego opatrzył Jerzy Timoszewicz skrupulatnym komentarzem biograficznym i historycznym, przerażającym znacznie rozmiar samych materiałów.

Takich materiałów ciekawostek przynosi każdy numer „Pamiętnika” sporo: omawiany tom jest pod tym względem wyjątkowo bogaty. Dowiadujemy się z niego o inscenizacjach rosyjskich „Balladyn” i „Nieboskiej”, o „Dziadach” w Ameryce i „Mazepie”

## NOTATKI O KŁOSOWSKIM

(Dokończenie ze str. 3)

Do tematów powracających u Kłosowskiego należy także sztuka, szczególnie malarstwo i muzyka. W ostatniej powieści, „Berle”, znajduje się cały rozdział pt. „Poemat Fibiłcha”. W tych wracających motywach znajdowały ujęcie nie eksploatowane pokłady możliwości twórczych Kłosowskiego. Studiował on kiedyś historię sztuki, uprawiał dla własnej przyjemności malarstwo, interesował się wszystkimi zagadnieniami sztuki. Wydaje się, że miał przed sobą więcej dróg, niż tylko pisarską.

Malarskie widzenia świata łatwo odczytuje się w powieściach Kłosowskiego. Widać wielkie uwrażliwienie na kolory, na zestawienie barw. Stąd także wielka rola krajobrazu. Jest on integralną częścią materii pisarskiej. Krajobraz często bywa elementem samodzielnym, częściej jednak służy stwarzaniu nastroju, staje się lirycznym komentarzem zdarzeń.

Omawiając swego czasu „Ziemie bez skarg” Andrzej Kijowski przydzielił powieści Kłosowskiego do reymontowskiej tradycji w literackim traktowaniu wsi. Główny przejaw tej tradycji to przede wszystkim formowanie postaci, ukazywanie krzepy ludzi wiejskich. Krzepa, temperament i ostre reakcje stanowią także cechy wybitne postaci Kłosowskiego. Rysunek ich jest

na Węgrzech. „Nieboskiej” poświęca dwa artykuły Stefania Skwareczyńska, autorka niedawno ogłoszonej wielkiej pracy o inscenizacjach „Nieboskiej”. Przeniesienie teatralnych nowalek zachodnich na teren polskiej scenografii w XIX wieku charakteryzuje artykuł Barbary Królówny o Sacchetti. Bardzo interesujące wiadomości o warszawskim balecie romantycznym daje też Janina Pudełek: przedmiotem jej uwagi jest dziesięciolecie 1833—43, w którym balet warszawski osiągnął wspaniałą rozkwit.

Ekspedycja w dzieje teatru polskiego przynosi bogate plony: przekonuje o wielkiej kulturze teatralnej poprzednich pokoleń, odsłania związki z poezją i muzyką. Hojną ręką zdobywa te udostępnia „Pamiętnik Teatralny”, pismo naprawdę wysokiej klasy.

Irena Sławińska

prawie zawsze jednakowy. Są mocni, nieskomplikowani, o uproszczonych reakcjach. Kłosowski odwarza głównie zewnętrzne przejawy ich przeżyć. Ich silne przeżycia wyrażają się w płaczu, lamencie, wyrzekaniach, przekleństwach. Wnętrze postaci pozostaje nadal niewiadomą. To sprawia, że szczególnie w ostatnich książkach, postacie nie wyrażają siebie, ale określone racje polityczne. Postacie nie mają samodzielności. Kłosowski, zamiast rozdać rolę postaciom i pozwolić im grać, sam mówi za nie w odautor-skim komentarzu.

Powieści Kłosowskiego mają charakter odwrotny w stosunku do rzeczywistości. Wspomniałem o akcentach autobiograficznych. Siegają one głębiej i dalej niż nam się wydaje. Z wielu szczegółów zostało naturalnie starte piętno autentyczności, w niektórych jednak powieściach wierność w przenoszeniu rzeczywistych spraw i zdarzeń jest całkowita. Tak na przykład okupacyjne lata autora, jego udział w partyzancie Batalionów Chłopskich — znalazły się w „Jarmie” nawet bez zmian wielu realiów. Józef Gajewski jest portretem własnym autora.

Także za miejsce akcji służą miejscowości prawdziwe, autentyczne. W sensie tej wierności jest Kłosowski pisarzem prawdziwie regionalnym, lubelskim.

W „Tańczącej karczynie” znalazłem następujące zdanie: „Nie chcę być zrozumięć, że sztuka zamiast uciekać przed życiem, musi urabiać nowe, idące życie”. Kłosowski w swych książkach nigdy od życia nie uciekał. Czy to życie urobił? Na pewno chciał urabiać. I w literaturze liczą się także intencje i zamierzenia.

Tadeusz Klak

kontemplowała postać mężczyzny bez listka figowego na wielkim płótnie Davida. Zdenerwowała to dozorczy-nię tej sali. Odezwała się do dziewczynki: „No, dość już tego! Popatrzcie lepiej na inne obrazy”, na co jedna z nich rezolutnie odparła: „A my wszystko oglądamy po kolei!”.

Stoję przed pomnikiem Piotra I. Przypomina mi się wiersz Mickiewicza. I ten o pomniku, i inne z „Dziadów” o Petersburgu. Rozumiem poetę, który w ówczesnym położeniu Polski i swoim nie mógł być obiektywny. Dla mnie miasta tego nie „budowały szatany” i uważam je za jedno z piękniejszych, jakie widziałem dotychczas.

Utwierdziła mnie w tym przekonaniu samotna półtoragodzina przechadzka wieczorna po Newskim Prospekcie: kanał i wybrzeże Gribojedowa, sobór Kazański w blasku reflektorów, przypominający mi św. Piotra w Rzymie, pomnik Kutuzowa i Barclay de Tolly’ego, cztery rumaki na moście Aniczkowym, a w powrotnej drodze oświetlona Iglica i perspektywa rozjarzonego Prospektu Admiralicji.

Miasto Błoka, miasto mego ulubionego poety. Ale mieszkać tu bym nie chciał: mimo wszystko obco i zimno. A klimat!

Szybko zbiegły pozostałe dni w Moskwie: wypełniło je już nie tyle zwiedzanie osobliwości, ile wizyty w redakcjach miesięczników („Nowego Miru” i „Inostrannoj Literatury”), spotkania z pisarzami, dwa oficjalne obiady (jeden w Ambasadzie) i nasz wieczór autorski w Klubie Pisarzy. Zetknięcie się z żywym człowiekiem nieraz bywa ciekawsze od oglądania martwych zabytków, tym bardziej, gdy jest to człowiek parający się słowem, którym pragnie utrwalić przemijanie czasu, człowiek bliski w tym szarym świecie, w którym tylko nieliczni osiągają doskonałość. Przelotna pogawędka z najstarszym poe-tą rosyjskim Sergiuszem Gorodieckim, długa rozmowa z uroczym Samuelem Marszałkiem czy wysłuchanie opo-

wiadań wspaniałego gawędziarza i imitatora Andronikowa — to były również piękne przeżycia. No i wspaniała gra artystów MCHAT-u w „Martwych Duszach” Gogola. A z ewenementów mniejszego kalibru — kinorama „Mir” (podróż po różnych miastach i malowniczych zakątkach — byłem jednak na Kaukazie!) i planetarium.

Ale wszystko ma swój koniec: niesyć jeszcze wrzeźni musielimy pożegnać gościnną Kraj Radziecką i gościnnych jego ludzi. Niegościnnie było tylko słońce. Dopiero, gdyśmy dojeżdżali do granicy polskiej, na krótko błysnął za chmur jego promień.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Leningrad

Widok z Newy na Sobór Izaaha



**B R A W A**  
dla lalek i aktorów

Lubelski Teatr Lalki i Aktora pod kierownictwem Stanisława Ochmańskiego nie ożaczał się dotychczas szumną reklamą i z tym większą sympatią witac można jego osiągnięcia. A takim osiągnięciem jest na pewno widowisko „Dziadek Zmruż-Oczko”, osnute na motywach andersenowskich, a zrealizowane według tekstu Janiny Morawskiej przez Stanisława Ochmańskiego. Widowisko, swobodnie traktując i rozwijając wątki, a raczej reminiscencje andersenowskie, zachowało to, co najważniejsze, a mianowicie atmosferę poetyckiej baśni, w której zwycięstwo graniczy tak blisko z nad-

zwyczajnością. Obe-Lukóje, występujący tu pod swoją nazwą „Dziadek Zmruż-Oczko”, na prośbę milej babuni odwieźdza urwisia Piotrusia, by otworzyć przed nim świat baśni. Dziecinny pokój staje się przedmiotem teatru marzeń: zalewa się łzami śpiąca królewna z domalowaną... zieloną brodą, rozgrywają się nadrealistyczne perypetie młodej pary — panny Rękawiczkii i pana Trzewiczka, gwiazdki spadają z nieba, by podać się sobotniemu czyszczeniu, a cały świat zostaje odmalowany na świeżo i barwi się wszystkimi kolorami tęczy...

Przedstawienie, ilustrowane muzyką Franciszka Wasikowskiego — tworzy harmonijną całość, pełną świeżości, pomysłowości, humoru i poezji. Estetyczne, a zarazem dowcipne laleczki, dzieło Wacława Kondka, wykazują dużą sprawność ruchową, nie popadając w naturalistyczną manierę, dekoracje są sugestywne w swej prostocie, a młodzi aktorzy z zapalem godnym dobrej sprawy udzielają głosu swym małym „kolegom”. Sądząc z „Dziadek Zmruż-Oczko”, Teatr Lalki i Aktora

mógłby z powodzeniem obdłu repertuaru dla dzieci uwzględnić — jako „produkt uboczny” — program dla dorosłych. Podejrzewam zresztą, że już w tym przedstawieniu pewne momenty (właśnie zaloty Trzewiczka) bardziej trafiają do dorosłych, niż do dzieci.

Rozczarowała mnie natomiast reakcja Kuby, który okazał mało zrozumienia dla uroczej konwencjonalności lalczonej sceny, obruszając się, że to wszystko „na niby”, że zamiast barwionych płam spod pędza wypadają kolorowe wstążki, a gwiazdy wiszą na sznurkach... A sam potrafi godzinami puszczać „obęę” z deseczki na „morzu” w miednicy. Ale od dorosłych wymaga rozrywki „naprawdę”. Może byłoby ciekawe drogą jakiejś ankietki zbadać reakcję innych młodocianych widzów.

W każdym razie mamy i ojcowie mogą się zachwycać z czystym sumieniem i aplauz swój dzieciom „do wierzenia” podawać.

A. T.

**NOTY**

NOWA BOLESNA STRATA dotknęła literaturę czechosłowacką: 2 marca zmarł jeden z najwybitniejszych pisarzy słowackich — Franciszek Heczko, poeta (zbiorki: „Wychoźdzę”, „Punktualnie o dwunastej”, „Wiersze słowiańskie”) i prozak, epik życia wsi słowackiej w okresie jej niedzi i budzenia się do nowego życia. Do najlepszych jego powieści należą: „Czerwone wino” i „Drewniana wieś”. Pracę nad cyklem „Święty mrok”, mającym obrazować czasy faszyzmu „niepodległej” Słowacji hlinkowskiej, przerwała śmierć pisarza.

W N-RZE 5 „WSPÓŁCZESNOŚCI” zamieszczono 6 listów Stanisława Brzozowskiego w wyborze i z komentarzem Mieczysława Sroki. Ze wstępu poprzedzającego te interesujące listy dowiedzieliśmy się, że Sroka przygotował do druku „obszerny zbiór korespondencji autora „Legendy Młodej Polski”.

OKRAGŁY I DOOKOŁA. Wprawdzie po rosyjsku mówi się o dziecku, które nie ma ojca ani matki, że to „krugły sirota”, a o kompletnym duraku — „krugom durak”, ale na szczęście nikt dotąd nie wprowadza do polszczyzny ani „okrągłego sieroty”, ani „durnia dookola”. Dlaczego więc spotykamy się tu i ówdzie z absurdalnym określeniem „okrągły rok” (krugły god), jakby cały — nie wystarczył? Tym smutniej, gdy taki błąd znajduje się u poety, który w ostatnich latach rozwija się coraz piękniej. Niestety, mamy tu na myśli Arnolda Stuckiego, którego wiersz zamieszczony w „Orce” (nr 8) pt. „Drzwi” zaczyna się od słów: „Okrągły już rok, jak puka do moich drzwi...”. A inny błąd — z rodzimego podwórka: we wspomnianiu „Godziny grozy” („Kurier Lubelski” nr 52) sygnowanym literami (ch) czytamy w końcowym ustępie takie zdanie: „Posiadanie legitymacji partyjnej przeplaciło(?) życiem wielu towarzyszy”. O kochanym „Przekroju” poniżej.

RECYDYWA BRAKOROBSTWA „PRZEKROJU”. Wprawdzie godzimy się z niektórymi „myślnymi ludźmi wielkich, średnich i psa Fafika” (OJ), ten snobistyczny pies przekrojowy! Nie nowego pod słońcem: miały go przed wojną i „Wiadomości Literackie”, choć nie był tak natrętny, a red. Grydzewski wydawał nawet specjalne „psie” pismo, a więc i z przytoczonym w n-rze 76 amerykańskim powiadomieniem „business is business”, ale czytając „Przekrój” już przy pierwszej stronie zastanawiamy się nad tym, jaki to jest „business”. Owszem, reklama szumna i niby dowcipna („Mount Everest przyjemności za 3 złote”, „Bez kofeiny lecz numer silny”). Cóż z tego, kiedy

znówu mamy dowód bałaganu. Po naszej kilkumiesięcznej walce o szanowanie czystości języka i poprawne pisanie daty na tytułowej stronie — „Przekrój”, aby zachować „twarz”, dopiero od nowego roku zaczął sygnować numery właściwie: 3, 10, 17 itd. stycznia. Ale już w następnym miesiącu czytamy po staremu: 14 luty(!), 21 luty(!), więc cóż to za „byznes”, w którym pobłażliwie toleruje się wybrki jakiegoś brakoroba, który nie potrafi dopilnować takiej drobnostki?

POST SCRIPTUM. I w „Zyciu Literackim” przy końcu karnawału było coś nie w porządku: nr 8 sygnowano — Kraków 21 luty(!) 1960, podobnie nr 9—23 luty(!). Po popytaniu głów popiołem wróciło do normy. A „Przekrój” w marcu się poprawił (nr 778 — 6 marca). Może brakoroba usunęto.

W poprzednich „Notach” chochlik drukarski spłatał mi figla: zamiast „odkupić” powinno być oczywiście — „okupić”.

-kaj-

**Widzi mi się****TRUIZMY o kilku słówkach**

Upraszczamy życie. Ekonomizujemy czas. Oszczędzamy wysiłków artykulacyjnych. I jednocześnie ubożymy życie.

Dla jednych to coś śmiesznego. Dla innych to zbyt liczny konwenans. Są i tacy, którzy widzą w tym przesady mieszczańskie. Tempo! Tempo!

Pewne wyrazy wychodzą u nas z obiegu. Na zachodzie, gdzie tempo życia jest z pewnością bogatsze, nie wpływa ono na ich wymieranie. Na wschodzie, gdzie przesady mieszczańskie wykorzeniono już dawno, wyrazy te są w powszechnym użyciu.

A przykład? Znamy ich mnóstwo z własnego doświadczenia. Omyłkowo wezwani do telefonu, nie zawsze zo-

stawiamy przeproszeni przez tego, co niewłaściwie nakręcił numer. Potrącenie przez przechodnią na ulicy, rzadko usłyszymy słowo: „przepraszam”. A jeśli się z nim spotkamy, wywołuje to w nas miłe zdziwienie. Nieraz chcemy dać nauczkę i poszkodowani z naciskiem sami wymawiamy wyraz, który nam się należy. I w odpowiedzi na to słyszymy czasem zdanie: „nie nie szkodzi”. A więc ten, co potrącił, albo nie zdaje sobie sprawy z tego, co mimo woli uczynił, albo złośliwie daje do zrozumienia, że potrąconemu nie wyrządził żadnej szkody. Tymczasem w Moskwie, gdzie panuje ruch olbrzymi, gdzie w tłumie nieraz naprawdę trudno się przecisnąć, na ulicy, w metrze, w szatni teatralnej jakże często rozlegają się słowa: „razieszitje projtji”, „izwiniajus”, „winowat”. I to zarówno z ust inteligencji, jak i robotników.

Wchodzimy do sklepu. Witamy ekspedientkę w naturalny sposób. Czasami zajęta pokazaniem lub waznieniem towaru nie dosłyszysz tego „dzień dobry”. Częściej, mimo że słyszysz, nie zada sobie trudu otworzenia ust dla odpowiedzi. Bo i po co? To samo, gdy odchodzimy, nasze „do widzenia” nieraz spotyka się z milczeniem. Zdarza się, że maniakalny propagator dobrych obyczajów manifestacyjnie powtórzy formułkę pożegnania. Ujrzy zdziwienie na twarzy ekspedientki, czasem wymusi na niej niechętną odpowiedź. Podobnie bywa z kierownikami taksówek, którzy na ogół rzadko reagują na „dzień dobry” i „do widzenia” pasażera. Ba, nawet w księgarni, a więc tam, gdzie z natury sprzedawanego towaru należałoby oczekiwać innej reakcji, zdarza się, że słowa powitania czy pożegnania są skwitowane milczeniem.

A mile, krótkie słoweczko: „dziękuję”? Za udzielenie informacji przechodniowi zapytującemu o kierunek drogi, za załatwienie jakiejś drobnej usługi. I ten wyraz stopniowo zanika.

Nie mówcie mi, że to są sprawy nieistotne, błahe. Upominam się o słowa: „przepraszam”, „dzień dobry”, „do widzenia”, „dziękuję”. Upominam się o uśmiech na twarzy tego, kto je wypowiada. Naturalnie, bez przymusu, bo mu to weszło w krew, bo tego wymagają dobre obyczaje.

Stanowimy wszyscy jedną wielką rodzinę, a naszą wspólną więź symbolizują i manifestują właśnie te skromne wyrazy.

X. Rovay

— Torebka — zasyczał obok przemiłkiwy szept — Olek, torebka! Słyszysz? Z nad opuszczającej się powoli, wzniesionej dłoni napaśnika wyjrzała jasnowłosa głowa chłopca i zdumione niewinnie, niebleskle oczy otwierały się coraz szerzej.

— Ojej, Maniek, omyka! — wykrztusił. Tamten dzielił go w ucho, aż po „kocich łbach” potoczył się z hałasem pistolet wodny. Stłumiony bieg na zakręcie. Szczęknięła w pobliżu brama szerokim ziewnięciem. Okna domów przysały. Z dachów płynących snem opadał żagiel nocy.

Helena Piatta

Ze względów technicznych kolumna „W stronę młodych” ukazała się w numerze 6

**Żagiel nocy**

(Dokończenie ze str. 7)

Kiedys, dawno, dawno, próbował mówić w szkole szczerze:

— Panie psorze, dziś nie nauczyłem się historii, bo było pranie. Musiałem nosić na strych; „pismienne” mam, ale zapominałem odrobić „ustne”.

Powiedział prawdę. Dostał dwójkę. Klasa pokładała się ze śmiechu:

— Olek — praczka, Olek — praczka! — wołali na przerwach. Śmiali się ze wszystkiego, cokolwiek jakoś pożywkę mogła podchwycić prymitywna złośliwość gromady dziecięcej. On zaś nie mógł znieść wstydu, że stoi jak głupi i nie może odpowiedzieć na pytanie. Wolał nie chodzić. Uczył się w domu było za trudno, bo właśnie Maniek zafundował kino, bo Rysiek i Tarezan przynieśli butelczynę, papierosy i karty...

Naprzeciw kina, do którego sobie tylko znanymi sposobami umiał wejść się nawet na kilka seansów dziennie, znajdowała się suterena z oknem na ulicę. Wynurzał się stamtąd przewlekłym stapaniem starszawy człowiek o ulicznej, gładkiej twarzy. Pytał poszturczającą się gromadkę o bilety:

— Kto może dostarczyć, no — dwa, powiedzmy?

Obskakiwali go, zawsze czujni, sprytni, zaprawieni:

— To ja dziś panu przyniosę! Te, Rysiek, odwal się, przestań, bo dostaniesz! A na którą pan chce?

Człowiek dobrotliwie przesunął dygoczącą ręką po szorstkich czuprynach. Oczy ciemniały, a na twarzy wypelzła czerwien.

— Macie blisko: widzisz okno? No, już wiesz gdzie? — Dostaniesz na papierosy, co?

Więc bywało wielu. Przynosili do domu. Tylko czasem szepcili, spluwali,

potęguje wymowę filmu. Nie ma tu żadnych ozdóbek stylistycznych; podobnie jak w dramaturgii klasycznej, żywioł dramatyczny zostaje zredukowany do samej esencji. To jest ta wysoka prostota, na którą może pozwolić sobie tylko mądra sztuka wsparta o nienaganne rzemiosło. Próg, tak rzadko niestety przekraczany przez naszą kinematografię.

Tajon

**Nobilitacja gatunków**

(Dokończenie ze str. 6)

gniewnych”. Cóż, jak powiadał Kubaś-Puchatek, są tacy, co mogą, i są tacy co nie mogą...

W „Dwunastu gniewnych” mamy do czynienia z nobilitacją fabuły nieomal kryminalnej, film „W samo południe” to zaskakujący awans „westernu”, tej formuły wyciśniętej — zdawałoby się — do ostatka. Nie wychodząc z ram klasycznego „westernu” film „W samo południe” sięga głęboko w sedno ludzkich spraw. To przejmująca analiza tehrzostwa i odwagi, małoduszności uchyłania się przed odpowiedzialnością i męskiego wytrwania wobec nieuchronnej prawie klęski. Szeryf Kane w ciągu godziny traci wszystko — miłość, przyjaźń i wszelkie złudzenia, a mimo to pozostaje wierny — już tylko swojej godności. Brawurowy koniec przyjmujemy w tym wypadku nie jako schematyczny „happy end”, ale jako wyraz słusznej wiary w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości i zadośćuczynienie nazbyt już rżączej krzywdzie.

Zamierzona konwencjonalność języka nie tylko nie osłabia, ale jeszcze